

Fryderyk Nietzsche

Antychrześcijanin

Przedmowa

Książka ta jest przeznaczona dla najmniej licznych. Może nawet żaden z nich jeszcze nie żyje. Mogliby to być ci, którzy rozumieją mojego *Zaratustrę*: jakże bym *rnógł* mylić siebie z tymi, dla których już dzisiaj rosną uszy? — Dopiero pojutrze należy do mnie. Niektórzy rodzą się po śmierci[i].

Warunki, w których się mnie rozumie, rozumie z *koniecznością* [—] znam je aż nazbyt dokładnie. Czytelnik musi być aż do surowości prawy w kwestiach ducha, aby wytrzymać choćby tylko moją powagę, moją pasję. Musi być zaprawiony w życiu na szczytach — w widzeniu *poniżej* siebie żalosnej paplaniny o polityce i egoizmie narodów. Musi zobojętnieć, nigdy nie może pytać, czy prawda jest pożyteczna, czy staje się dla kogoś fatum... Zamiłowanie potęgi do pytań, których stawiać nikt nie ma dzisiaj odwagi; odwaga do przedsięwzięć *zakazanych*; predestynacja do błędzenia w labiryncie. Doświadczenie wywiedzione z siedmiu samotności. Nowe ucho dla nowej muzyki. Nowe oko dla najodleglejszych widoków. Nowe sumienie dla prawd, które dotychczas pozostawały nieme. I wola oszczędności, właściwej wielkiemu stylowi: jego siła, jego *entuzjizm*, ściśle zespolone... Respekt dla siebie; miłość do siebie; bezwarunkowa wolność wobec siebie...

No dobrze! Jedynie tacy są moimi czytelnikami, moimi prawowitymi czytelnikami, z góry mi przeznaczonymi czytelnikami: cóż mi po reszcie? — Reszta to tylko ludzkość. — Nad ludzkością trzeba górować siłą, *wysokością* duszy — pogardą...

Fryderyk Nietzsche

1.

Spójrzmy sobie w twarz. Jesteśmy Hiperborejczykami — wiemy dostatecznie dobrze, na jakim ustroniu przyszło nam żyć. „Ani lądem, ani wodą nie znajdziesz drogi do Hiperborejczyków”: wiedział to o nas już Pindar. Po drugiej stronie Północy, lodów, śmierci — *nasze życie, nasze szczęście...* Odkryliśmy szczęście, znamy drogę, znaleźliśmy wyjście z całych tysiącleci labiryntu. Kto znalazł jejeszcze? — Może nowoczesny człowiek? „Nie umiem wyjść ani wejść, jestem wszystkim, co nie umie ani wyjść, ani wejść” — wzdycha nowoczesny człowiek... *Na tę nowoczesność* byliśmy chorzy — na gnuśny pokój, na tchórzliwy kompromis, na całą cnotliwą nieczystość nowoczesnego „Tak” i „Nie”. Owa tolerancja i *largeur* serca, która wszystko „wybacza”, bo wszystko „pojmuje”, jest dla nas niczym sirocco. Żyć pośród lodów raczej niż pośród nowoczesnych cnót i innych wiatrów południowych!... Byliśmy dostatecznie dzielni, nie oszczędzaliśmy ani siebie, ani innych: długo nie wiedzieliśmy jednak, *dokąd* zmierzamy ze swą dzielnością. Sposepniliśmy, zwano nas fatalistami. *Naszym fatum* była pełnia, napięcie, spiętrzenie sił. Łaknęliśmy błyskawicy i czynów, pozostawialiśmy jak najdalej od szczęścia słabeuszy, od „poddawania się...” Burza szalała w naszym powietrzu, natura, którą jesteśmy, zaciemniła się — *albowiem nie mieliśmy żadnej drogi*. Formuła naszego szczęścia: „Tak”, „Nie”, linia prosta, *cel...*

2.

Co jest dobre? — Wszystko, co zwiększa w człowieku poczucie mocy, wolę mocy, samą moc.

Co jest liche? — Wszystko, co pochodzi ze słabości.

Co jest szczęściem? — Poczucie, że moc *rośnie*, że opór zostaje przewyciężony.

Nie zadowolenie, lecz większa moc; *nie* pokój w ogóle, lecz wojna; *nie* cnota, lecz tężyzna (cnota w renesansowym stylu, *virtu*, *cnota wolna od moralizatorstwa*)

Niech zginą słabi i nieudatni: pierwsza teza *naszej* miłości człowieka. I należy im w tym jeszcze pomóc.

Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek występki? Aktywne współ-cierpienie z wszystkimi nieudatnymi i słabymi — chrześcijaństwo...

3.

Problemem, który tu stawiam, nie jest pytanie, co ma zastąpić ludzkość w łańcuchu istot (— człowiek jest *końcem* —), lecz pytanie, jaki typ człowieka należy *wyhodować*, jakiego typu człowieka należy *chcieć*, jako istoty wyższej pod względem wartości, jako istoty godniejszej życia, jako istoty pewniejszej przyszłości.

Ten wyższy pod względem wartości typ dość często się już pojawiał: lecz jako szczęśliwy przypadek, jako wyjątek, nigdy jako coś, czego by *chciano*. Przeciwnie: budził *on* właśnie największy strach, był dotychczas nieledwie *uosobieniem* straszliwości; — strach zaś sprawił, że *chciano przeciwnego* typu, że hodowano go i *osiągnięto*: zwierzę domowe, zwierzę stadne, chore zwierzę człowiek — chrześcijanin...

4.

Ludzkość *nie* przedstawia, jak się dzisiaj uważa, rozwoju ku czemuś lepszemu, czy potężniejszemu, czy wyższemu. „Postęp” jest niczym więcej jak nowoczesną ideą, to znaczy fałszywą ideą. Dzisiejszy

Europejczyk stoi pod względem wartości niżej od Europejczyka czasów renesansu; rozwój absolutnie *nie* jest, mocą jakiejś konieczności, podwyższaniem, podnoszeniem, potęgowaniem.

Stale natomiast, w najróżniejszych miejscach na Ziemi i z najrozmaitszych kultur, wyrastają pojedyncze egzemplarze, które rzeczywiście Reprezentują *typ* wyższy: coś, co w porównaniu z ogółem ludzkości jest swego rodzaju nadczłowiekiem. Takie szczęśliwe przypadki wielkiego rozkwitu zawsze były możliwe i zapewne zawsze też będą możliwe. Całe generacje nawet, plemiona, ludy mogą niekiedy przedstawiać tego rodzaju *traf*.

5.

Chrześcijaństwa nie powinno się przyozdabiać i stroić: wydało ono *wojnę* na śmierć i życie temu *wyższemu* typowi człowieka, wszystkie jego fundamentalne instynkty skazało na wygnanie, wydestylowało z nich zło, złego człowieka — człowiek potężny jako typ, który należy odrzucić, jako „człowiek odrzucony”. Chrześcijaństwo wzięło stronę wszystkiego, co słabe, co niskie, co nieudatne, *sprzeciw* wobec instynktu samozachowawczego, właściwego potężnemu życiu, uczyniło ideałem; zepsuło rozum nawet najpotężniejszych duchowo natur, ucząc odczuwać naczelne wartości duchowe jako grzeszne, jako błędne, jako *pokuszenie*. Najżałośniejszy przykład — zepsucie Pascala, który wierzył, że jego rozum jest skażony przez grzech pierworodny, podczas gdy był on skażony jedynie przez jego chrześcijaństwo! —

6.

Ukazało się mi bolesne, okropne widowisko: ściągnąłem zasłonę z *zepsucia* człowieka. Słowu „zepsucie”, w mych ustach, nie grozi przynajmniej jedno podejrzenie: jakoby zawierało ono w sobie oskarżenie moralne przeciwko człowiekowi. Jest ono — chciałbym to jeszcze raz podkreślić — *wolne od moralizatorstwa*: do tego stopnia, że owo zepsucie najmocniej odczuwam właśnie tam, gdzie dotychczas najświadomiej aspirowano do „cnoty”, do „boskości”. Zepsucie rozumiem, łatwo już zgadnąć, w znaczeniu dekadencji: twierdzą, że wszystkie wartości, w których ludzkość sumuje swe naczelne pragnienia, są wartościami dekadencjonalnymi.

Zwierzę, gatunek, indywiduum nazywam zepsutym, jeśli traci ono swe instynkty, jeśli wybiera, jeśli *preferuje* to, co dlań szkodliwe. Historia „uczuć wyższych”, „ideałów ludzkości”

— możliwe, że będę ją musiał opowiedzieć — nieomal wyjaśniałaby także, *dłaczego* człowiek jest tak zepsuty.

Samo życie uważam za instynkt wzrostu, instynkt trwania, instynkt gromadzenia sił, za instynkt *mocy*: gdzie brak woli mocy, tam następuje schyłek. Twierdzę, że wszystkim naczelnym wartościom ludzkości *brak* tej woli, że panują, przybierając najświętsze nazwy, wartości schyłkowe, wartości *nihilistyczne*.

7.

Chrześcijaństwo nazywa się religią *współcierpienia*. — Współ-cierpienie stanowi przeciwieństwo uczuć tonizujących, które podwyższają energię pocucia życia: współcierpienie działa depresyjnie. Ten, kto współcierp[i], traci siłę. Współcierpienie pomnaża i zwielokrotnia ubytek siły, który przy[nosi] życiu już samo cierpienie. Przez współcierpienie samo cierpienie staje się zaraźliwe; w wyniku współcierpienia może niekiedy nastąpić ogólny ubytek życia i energii życiowej, który pozostaje w absurdalnym stosunku do kwantum przyczyny (— przypadek śmierci Nazareńczyka) Jest to pierwszy aspekt; można jednak wskazać jeszcze ważniejszy. Jeśli przyjmiemy, że miarą współcierpienia jest wartość reakcji, które zwykło ono wywoływać, to jego niebezpieczny dla życia charakter ukaże się w jeszcze jaśniejszym świetle. W ogólności, współcierpienie staje w poprzek prawu rozwoju, które jest prawem *selekcji*. Współcierpienie zachowuje przy życiu to, co dojrzało do zagłady, broni wydziedziczonych i skazańców życia, mnóstwem wszelkiego rodzaju nieudatnych tworów, które *utrzymuje* przy życiu, nadaje samemu życiu posępny i podejrzany widok. Poważono się nazywać współcierpienie cnotą (— każda *dostojna* moralność uważa je za słabość —); posunięto się jeszcze dalej i uczyniono z niego *główną* cnotę, podstawę i źródło wszystkich cnót — tyle tylko, że dokonano tego, o czym stale należy pamiętać[,] z punktu widzenia filozofii, która była filozofią nihilistyczną, która na swej tar[czy wypisała *negację życia*. Schopenhauer miał tu rację: współ[cierpienie] neguje życie, czyni je *god[nym] negowania* — współcierpienie jest *praktyką* nihilizmu. Powiedzmy jeszcze raz: ów depresyjny i zaraźliwy instynkt występuje przeciwko tym instynktom, które dążą do utrzymania życia i podniesienia jego wartości: *zwielokrotniając* nędzę i *zachowując* wszystko, co nędzne, jest ono głównym instrumentem potęgowania dekadencji — współcierpienie namawia do *nicości*... Nie mówi się „nicość”: zamiast tego mówi się „zaświaty”; albo „Bóg”; albo „prawdziwe życie”; albo nirwana, odkupienie, błogość... Ta niewinna retoryka z królestwa religijno-moralnej idiosynkrazji okaże się zaraz *znacznie mniej niewinna*, gdy pojmiemy, *jaka* tendencja narzuca tu na siebie płaszczyzniosłych słów: tendencja *wroga* życiu. Schopenhauer był wrogi życiu: *dlatego* współcierpienie stało się dlań cnotą... Arystoteles, jak wiadomo, widział we współcierpieniu chorobliwy i niebezpieczny stan, na który dobrze jest od czasu do czasu zadziałać środkiem przeczyszczającym: tragedię uważał on za środek przeczyszczający. Z perspektywy instynktu życia faktycznie należałoby poszukać jakiegoś środka, który pozwoliłby nakłuć tak chorobliwą i niebezpieczną kumulację współcierpienia, jaką stanowi przypadek Schopenhauera (a także, niestety, cała nasza literacka i artystyczna dekadencja od Sankt Petersburga po Paryż, od Tołstoja po Wagnera): aby wreszcie *pękła*... Nic, w naszej niezdrowej nowoczesności, nie jest tak niezdrowe jak chrześcijańskie współcierpienie. *Tutaj* być lekarzem, *tutaj* być nieubłagany, *tutaj* ciąć nożem — do *nas* należy to zadanie, to jest *nasz* rodzaj miłości do człowieka, dzięki temu *my* jesteśmy filozofami, *my*, Hiperborejczycy! — — —

8.

Trzeba koniecznie powiedzieć, *kogo* odczuwamy jako nasze przeciwieństwo — teologów i wszystko, co ma w żyłach krew teologów — całą naszą filozofię... Fatum to trzeba zobaczyć z bliska, co więcej, trzeba je przeżyć w sobie, trzeba przez nie nieomal zginać, aby nie pozwolić już z siebie tu żartować (— wolny duch naszych panów przyrodników i fizjologów jest, w moich oczach, żartem — brak im pasji w tych sprawach, *cierpienia* z ich powodu) Owo zatrucie sięga o wiele dalej, niż się sądzi: teologiczny instynkt pychy odnajdywałem wszędzie tam, gdzie człowiek czuje się dziś „idealistą” — gdzie, na mocy wyższego

pochodzenia, rości sobie prawo do spoglądania na rzeczywistość wyniosłym i obcym okiem... Idealista, zupełnie tak samo jak kapłan, trzyma w swym ręku (— i nie tylko w ręku!) wszystkie wielkie pojęcia, igra nimi z dobrotliwą pogardą wobec „intelektu”, „zmysłów”, „czci”, „dobrobytu”, „nauki”, rzeczy tego rodzaju widzi *poniżej* siebie, niczym jakieś szkodliwe i uwodzicielskie siły, ponad którymi] „duch” buja w swym czystym byciu dla siebie:

— tak jakby pokora, czystość płciowa, ubóstwo, jednym słowem *świętość*, nie wyrządziły dotychczas życiu niewymownie większej szkody niż wszelkie okropności i występki... Czysty duch jest czystym kłamstwem... Dopóki kapłan, który z *powołania* neguje, oczernia, zatruwa życie, będzie uchodził za wyższy typ człowieka, dopóty nie będzie odpowiedzi na pytanie: co *jest* prawdą? Prawdę *postawiono* już na głowie, skoro świadomy adwokat nicości i negacji uchodzi za reprezentanta „prawdy”... ,

9.

Wydaję wojnę temu instynktowi teologicznemu: wszędzie znajdowałem jego ślady. Kto ma w żyłach krew teologów, ten od początku do wszystkich rzeczy odnosi się nieuczciwie i opacznie. Patos, który się z tego rozwija, zwie się *wiarą*: raz na zawsze zamknąć oczy na siebie, aby nie cierpieć od widoku nieuleczalnego fałszu. Z tej błędnej optyki wobec wszystkich rzeczy robi się moralność, cnotę, świętość, a czyste sumienie sprzęga się z *fałszywym* widzeniem — żąda się, by żaden *inny* rodzaj optyki nie miał już wartości, skoro własną uświęciło się nazwami „Bóg” „odkupienie” „wieczność”. Wszędzie jeszcze dogrzebałem się instynktu teologicznego: jest on najbardziej rozpowszechnioną, prawdziwie *podziemną* formą fałszu. Wszystko, co teolog odczuwa jako prawdziwe, *musi* być fałszem: można to uznać nieomal za kryterium prawdy. Jego najbardziej podstawowy instynkt samozachowawczy nie pozwala, by rzeczywistość doszła w jakimkolwiek punkcie do czci czy choćby tylko do głosu. Wszędzie, dokąd sięga wpływ teologów, *sąd wartościujący* jest postawiony na głowie, a pojęcia „prawdziwy” i „fałszywy” są z konieczności odwrócone: co dla życia jest najszkodliwsze, to nazywa się tu „prawdziwym”, co zaś je podnosi, wzmacnia, afirmuje, usprawiedliwia i czyni zwycięskim, to zwie się „fałszywym”... Jeśli się zdarzy, że za pośrednictwem „sumienia” książąt (czy ludów) teologowie wyciągają rękę po *władzę*, to nie mamy wątpliwości, *co*, w gruncie rzeczy, za każdym razem się tam dzieje: wola końca, wola *nihilistyczna* chce władzy...

10.

Niemcy zrozumieją mnie natychmiast, gdy powiem, że krew teologów zepsuła filozofię. Praojcem niemieckiej filozofii jest pastor protestancki, a sam protestantyzm jej *peccatum originale*. Definicja protestantyzmu: porażenie połowiczne chrześcijaństwa — i rozumu. Wystarczy tylko powiedzieć „Instytut Tybingeński”, by pojąć, *czym*, w gruncie rzeczy, jest niemiecka filozofia — *przebieglą* teologią... Szwabi są w Niemczech najlepszymi kłamcami, kłamią niewinnie... Skąd radość, którą w świecie niemieckich uczonych, składającym się w trzech czwartych z synów pastorów i nauczycieli, wywołało wystąpienie Kanta — skąd niemieckie przekonanie, które i dziś jeszcze znajduje rezonans, że z Kantem rozpoczyna się zwrot ku *lepszemu*! Instynkt teologiczny niemieckiego uczonego odgadł możliwości, która teraz ponownie się zarysowały... Kręta ścieżka, wiodąca do dawnego ideału, znów stała otworem, pojęcie „świat prawdziwy”, pojęcie moralności jako *esencji* świata (— dwa najzłośliwsze błędy, jakie tylko istnieją!) teraz znów były, dzięki szczerzaniu inteligentnemu sceptycyzmowi, jeśli nie do dowiedzenia, to przynajmniej już nie do *obalenia*... Rozum, *prawo rozumu* nie sięga tak daleko... Z rzeczywistości uczyniono „pozór”; a całkowicie *skłamanym* świat, świat bytu, rzeczywistością... Sukces Kanta jest niczym więcej jak sukcesem teologa: Kant, tak jak Luter, jak Leibnitz, był jeszcze jednym hamulcem, użytym przez niepewną siebie, niemiecką prawość —

11.

Jeszcze słowo przeciw Kantowi jako *moraliscie*. Cnota musi być *naszym* wynalazkiem, naszą *najbardziej osobistą* obroną konieczną i potrzebą konieczną: w każdym innym

znaczeniu jest ona tylko zagrożeniem. Co nie jest warunkiem naszego życia, to przynosi mu *szkodę*: cnota, która, jak chciał tego Kant, ma swe źródło jedynie w poczuciu szacunku dla pojęcia „cnota”, jest szkodliwa. „Cnota”, „obowiązek”, „dobro samo w sobie”, dobro bezosobiste i powszechnie ważne — urojenia, w których wyraża się schyłek, ostateczne osłabienie życia, królewiecka chińszczyzna. Najgłębsze prawa samozachowania i wzrostu nakazują coś przeciwnego: by każdy wynalazł sobie *swoją* cnotę, *swój* imperatyw kategoryczny. Każdy naród zginie, jeśli *swój* obowiązek pomyli z pojęciem obowiązku w ogóle. Nic nie rujnuje tak głęboko, tak wewnętrznie jak wszelki „bezosobisty” obowiązek, wszelka ofiara na ołtarzu molocha abstrakcji. — Że też nie odczuto Kantowskiego imperatywu kategorycznego jako *niebezpiecznego dla życia*... Wziął go w obronę sam instynkt teologiczny! — Działanie, do którego zmusza instynkt życia, dowód *swej* *prawości* znajduje w przyjemności: ale ów nihilista o chrześcijańsko-dogmatycznych trzewiach uważał przyjemność za *zarzut*... Cóż niszczy szybciej niż praca, myślenie, odczuwanie, którym brak wewnętrznej konieczności, głęboko osobistego wyboru, *przyjemności*? niż automatyzm „obowiązku”? Coś takiego jest wręcz *przepisem* na dekadencję, nawet na idiotyzm... Kant stał się idiotą. — I pomyśleć, że był współczesnym *Goethego*. To pajęcze fatum uchodziło — nadal uchodzi! — za *uosobienie niemieckiego* filozofa... Wystrzegam się, by nie powiedzieć, co myślę o Niemcach... Czyż Kant nie widział w Wielkiej Rewolucji Francuskiej przejścia od nieorganicznej do *organicznej* formy państwa? Czyż nie pytał, czy istnieją zdarzenia, których nie można wyjaśnić inaczej jak tylko predyspozycjami moralnymi ludzkości, tak iż raz na zawsze *dowodzą* one „dążenia ludzkości do dobra”? Odpowiedź Kanta: „tym jest rewolucja”. Całkowicie chybiony instynkt, sprzeczność z naturą jako instynkt, niemiecka dekadencja jako filozofia — *tym jest Kant!* —

12.

Pomijam paru sceptyków, przyzwoity typ w dziejach filozofii: wszelako cała reszta nie zna najpierwszych wymogów intelektualnej prawości. Wszyscy oni, ci wielcy fantaści, te dziwolągi, postępują jak paniusie — „piękne uczucia” mają już za argument, „wzniesioną pierś” za miech bóstwa, przekonanie za *kryterium* prawdy. Na koniec jeszcze Kant, z „niemiecką” niewinnością, próbował tę formę zepsucia, ten brak sumienia intelektualnego unaukować z pomocą pojęcia „rozumu praktycznego”: wynalazł specjalny rodzaj rozumu dla zagadnień, w przypadku których można się nie troszczyć o rozum, gdy mianowicie odzywa się moralność, gdy odzywa się wzniosły postulat „powinieneś”. Jeśli zważyć, że u niemal wszystkich ludów filozof jest niczym więcej jak rozwinięciem typu kapłańskiego, to nie zaskakuje już owo kapłańskie dziedzictwo, owo zafałszowywanie *przed samym sobą*. Kto ma święte zadania, na przykład poprawianie, ratowanie, odkupianie ludzi, kto nosi Boga w sercu, kto jest głosem zaświatowych imperatywów, ten dzięki takiej misji stoi już poza wszystkimi czysto intelektualnymi ocenami — ten sam jest już uświęcony przez takie zadania, ten sam jest już typem wyższego porządku!... Cóż obchodzi kapłana *nauka*. Stoi on na to zbyt wysoko! — A kapłan dotychczas *panowali* On *określał* pojęcia „prawdziwy” i „nieprawdziwy”!...

13.

Nie lekceważmy tego: *my sami*, my, wolne duchy, jesteśmy już „przewartościowaniem wszystkich wartości”, *wcielonym* wypowiedzeniem wojny i zwycięstwa, wojny z wszystkimi dawnymi pojęciami „prawdziwy” i „nieprawdziwy”. Najwartościowsze poglądy znajduje się najpóźniej; a najwartościowsze poglądy są *metodami*. Przez tysiąclecia *wszystkie* metody, *wszystkie* przesłanki naszej obecnej naukowości miały przeciw sobie najgłębszą pogardę, skutkiem której było się wykluczonym z obcowania z ludźmi „zacnymi” — uchodziło się za „przeciwnika Bożego”, za gardzącego prawdą, za „opętańca”. Jako typ naukowy było się czandalą... Mieliśmy przeciw sobie cały patos ludzkości — jej pojęcie o tym, czym *powinna* być prawda, czym *powinna* być służba dla prawdy: każde „powinieneś” było do tej pory skierowane *przeciwko* nam... Nasze obiekty, nasze praktyki, nasz cichy, ostrożny, nieufny

charakter — w jej oczach wszystko to jawiło się jako zupełnie niegodne i zasługujące na pogardę. — Na koniec można zapewne zapytać, nie bez pewnej racji, czy to właściwie nie aby smak estetyczny utrzymywał ludzkość w tak długiej ślepotcie: domagała się ona od prawdy *malowniczego* efektu, podobnie jak od poznającego domagała się, by mocno oddziaływał na zmysły. Nasza *skromność* od dawien dawna sprzeciwia się smakowi... O, jakże one to odgadły, te indory Boga — —

14.

Przekwalifikowaliśmy się. Staliśmy się pod każdym względem skromniejsi. Nie wywodzimy już człowieka z „ducha”, z „bóstwa”, na powrót postawiliśmy go między zwierzętami. Uważamy go za najpotężniejsze zwierzę, ponieważ jest on najbardziej przebiegłym zwierzęciem: następstwem tego jest jego duchowość. Z drugiej strony, bronimy się przed próżnością, która i tutaj chciałaby dojść do głosu: jakoby człowiek był wielkim, ukrytym celem ewolucji zwierzęcej. W żadnym razie nie jest on koroną stworzenia, każda istota,

obok niego, stoi na tym samym szczeblu doskonałości... Twierdząc to, twierdzimy jeszcze zbyt dużo: człowiek jest, relatywnie biorąc, zwierzęciem najbardziej nieudatnym, najbardziej chorowitym, które najniebezpieczniej[!] zbłądziło i odeszło od swych instynktów — jakkolwiek, dzięki temu wszystkiemu, i zwierzęciem *najbardziej interesującym*^ — Jeśli chodzi o zwierzęta, to Kartezjusz jako pierwszy, z godną szacunku śmiałością, odważył się na koncept, by rozumieć zwierzę jako *machina*: cała nasza fizjologia stara się dowieść tej tezy. Logiczne rozumując, nie pomijamy tu, jak czynił to jeszcze Kartezjusz, człowieka: dzisiejsze pojmowanie człowieka sięga dokładnie tak daleko, jak daleko pojmuje się człowieka jako maszynę. Niegdyś przydawano człowiekowi, jako jego posag, pochodzący z wyższego porządku, „wolną wolę”: dzisiaj zabraliśmy mu nawet wolę — w tym sensie, że pod słowem „wola” nie można już rozumieć żadnej zdolności. Stare słowo „wola” służy do tego jedynie, by nazywać pewien rezultat, pewien rodzaj indywidualnej reakcji, która w sposób konieczny następuje w odpowiedzi na mnogość po części sprzecznych, po części współbrzmiających bodźców: — wola już nie „działa”, już nie „porusza”... Niegdyś w świadomości człowieka, w „duchu”, widziano dowód jego wyższego pochodzenia, jego boskości; aby się *spełnić*, człowiek miał, jak mu radzono, niczym żółw wciągnąć w siebie zmysły, zawiesić obcowanie z ziemskim światem, rzucić śmiertelną powłokę: a wówczas pozostanie jego sedno, „czysty duch”. Również w tej kwestii pogląd nasz jest inny: zdolność uświadamiania sobie „ducha”, uważamy właśnie za symptom względnej niedoskonałości organizmu, za próbowanie, macanie, chybianie, za wysiłek, w którym człowieka niepotrzebnie zużywa sporo swych sił nerwowych — przeczy my przekonaniu, że można cokolwiek robić doskonale, dopóki jeszcze robi się to w świadomy sposób. „Czysty duch” jest czystym idiotyzmem: jeśli odliczymy system nerwowy i zmysły, ową „śmiertelną powłokę”, *to się przeliczymy* — nic więcej

15.

W chrześcijaństwie ani moralność, ani religia nie styka się z choćby jednym punktem rzeczywistości. Same wyimaginowane *przyczyny* („Bóg”, „dusza”, „Ja”, „duch”, „wolna wola” — bądź też „niewolna”); same wyimaginowane *skutki* („grzech”, „odkupienie”, „łaska”, „kara”, „odpuszczenie grzechu”). Obcowanie pomiędzy wyimaginowanymi *istotami* („Bóg” „duchy” „dusze”); wyimaginowane przyrodoznawstwo (antropocentryczne; zupełny brak pojęcia przyczyn naturalnych) wyimaginowana *psychologia* (same nieporozumienia co do człowieka, interpretacje przyjemnych czy nieprzyjemnych uczuć ogólnych, na przykład stanów *nerui sympathici*, z pomocą języka znaków religijno-moralnej idiosynkrazji — „skrucha”, „wyrzuty sumienia”, „diabelska pokusa”, „bliskość Boga”); wyimaginowana *ideologia* („Królestwo Boże”, „Sąd Ostateczny”, „życie wieczne”). — Od świata snów ten czysto *fikcyjny świat* różni się, na niekorzyść, tym, że świat snów jest *odzwierciedleniem* rzeczywistości, natomiast on

zafałszowuje, odwartościowuje, neguje rzeczywistość. Gdy wynaleziono pojęcie „natura” jako przeciwieństwo pojęcia „Bóg”, słowo „naturalny” musiało oznaczać tyle, co „zasługujący na odrzucenie” — korzenie całego tego fikcyjnego świata stanowi *nienawiść* do naturalności (— rzeczywistości! —), jest on wyrazem głębokiego niezadowolenia z rzeczywistości... A *to wszystko wyjaśnia*... Kto jedynie ma powody, by się *kłamstwem* odcinać od rzeczywistości? Ten, kto przez nią *cierpi*. Cierpieć zaś przez rzeczywistość to tyle, co być *unieszczęśliwioną* rzeczywistością... Przewaga uczuć nieprzyjemności nad uczuciami przyjemności jest *przyczyną* owej fikcyjnej moralności i religii: przewaga taka stanowi zaś *formule* dekadencji...

16.

Do podobnego wniosku zmusza krytyka *chrześcijańskiego pojęcia Boga*. — Lud, który jeszcze wierzy w siebie, ma też jeszcze swego własnego Boga. Czci w nim warunki, dzięki którym góruje, czci swe cnoty — swą radość z samego siebie, swe poczucie mocy projektuje na istotę, której może za to składać dzięki. Kto jest bogaty, ten chce oddawać; dumny lud potrzebuje Boga, by *składać ofiary*... Religia, z punktu widzenia takich przesłanek, jest formą wdzięczności. Jest się wdzięcznym za samego siebie: do tego potrzebuje się Boga. — Taki Bóg musi umieć przynosić korzyść i szkodę, musi umieć być przyjacielem i wrogiem — podziwia się go zarówno w dobrym, jak i w złym. *Sprzecznej z naturą* kastracji Boga, która czyni go Bogiem tylko dobra, nikt by tam sobie nie życzył. Zły Bóg jest równie potrzebny jak dobry Bóg: wszak własne istnienie zawdzięcza się akurat nie tolerancji, akurat nie uprzejmości wobec ludzi... Cóżby komu zależało na Bogu, który nie zna gniewu, zemsty, zawiści, szyderstwa, podstępu, gwałtu? któremu może nawet nie byłyby znane zachwycające *ardeurs* zwycięstwa i unicestwienia? Takiego Boga by nie rozumiano: po cóż byłoby go mieć? — Gdy jednak lud ginie; gdy czuje, że jego wiara w przyszłość, jego nadzieja wolności definitywnie znika; gdy poddaństwo uświadamia się mu jako najpierwsza korzyść, a cnoty poddanego jako warunki samozachowania, wtedy *musi* się zmienić także jego Bóg. Staje się on teraz świętoszkowaty, strachliwy, skromny, doradza „spokój duszy”, zaprzestanie nienawiści, pobłażliwość, samą „miłość” wobec przyjaciół i wrogów. Stale moralizuje, wpełza do jaskini wszelkiej cnoty prywatnej, staje się Bogiem dla każdego, staje się mężem prywatnym, staje się kosmopolitą... Niegdyś reprezentował lud, potęgę ludu, wszystko, co w duszy ludu było agresywne i złaknione mocy: teraz jest już tylko dobrym Bogiem... W rzeczy samej, nie ma innej możliwości dla bogów: *albo* są wolą mocy — i dopóty będą bogami ludów — *albo* są niemocą co do mocy — a wtedy z konieczności stają się *dobrzy*..

17.

Tam, gdzie w jakiegokolwiek formie wola mocy obniża się, tam, za każdym razem, mamy do czynienia także z regresem fizjologicznym, z dekadencją. W warunkach dekadencji bóstwo, wytrzebione ze swych najbardziej męskich cnót i popędów, z konieczności staje się Bogiem ludzi fizjologicznie podupadłych, słabych. Nie zważają oni siebie słabymi, zważają siebie „dobrymi”. Nie potrzeba dodatkowych wskazówek, by pojąć, w jakim dopiero momencie historycznym możliwa staje się dualistyczna fikcja dobrego Boga i złego Boga. Tym samym instynktem, którym poddani redukują swego Boga do „dobra samego w sobie”, wymazują oni z Boga swych zwycięzców dobre własności; niszczą się na swych panach, *diabolizując* ich

Boga. — *Dobry Bóg*, podobnie jak diabeł: dwa wykwity dekadencji. — Jak w dzisiejszych czasach można jeszcze tak bardzo ulegać naiwności chrześcijańskich teologów i dekretować za nimi, że ewolucja pojęcia Boga, która prowadzi od „Boga Izraela”, od Boga ludu, do Boga chrześcijańskiego, do kwintesencji wszelkiego dobra, jest *postępem*? — *Lecz* nawet Renan to czyni. Tak jakby Renan miał prawo do naiwności! Przecież coś zupełnie przeciwnego wręcz rzuca się w oczy. Gdy z pojęcia Boga usuwa się warunki *wstępującego* życia, wszelką potęgę, dzielność, pańskość, dumę, gdy pojęcie Boga krok po kroku karłowacieje w symbol łaski dla zmęczonych, deski ratunku dla wszystkich tonących, gdy Bóg staje się Bogiem biedaków, Bogiem grzeszników, Bogiem chorych *par excellence*, a predykat „zbawiciel” „odkupiciel”, pozostaje poniekąd jako predykat boskiego w ogóle: o czym mówi takie przeobrażenie? taka *redukcja* pierwiastka boskiego? — Oczywiście: powiększyło się dzięki temu „Królestwo Boże”. Niegdyś Bóg miał tylko swój lud, swój lud „wybrany”. Potem, tak samo jak jego lud, poszedł między obcych, na wędrowną, i nigdzie odtąd nie zagrzeł już na stałe miejsca: aż w końcu wszędzie poczuł się jak w domu, ten wielki kosmopolita — aż przeciągnął na swą stronę „wielką liczbę” i pół Ziemi. Bóg „wielkiej liczby”, demokratą wśród Bogów, mimo to nie stał się dumnym Bogiem pogańskim: pozostał Żydem, pozostał Bogiem zakątków, Bogiem wszystkich ciemnych zakamarków i miejsc, wszystkich niezdrowych dzielnic świata!... Jego królestwo światowe nadal jest królestwem świata podziemi, szpitalem, królestwem suteryn, królestwem gett... On sam zaś tak blady, tak słaby, tak dekadentcki... Zapanowali nad nim nawet najbledsi z białych, panowie metafizycy, te albinosy pojęć. Tak długo snuli wokół niego swą pajęczą nić, że w końcu, zahipnotyzowany ich ruchami, sam stał się pajakiem, sam stał się metafizykiem. Odtąd wysnuwa znów z siebie świat — *sub specie Spinozae* — odtąd transfiguruje się w coraz bledszy i cieńszy twór, staje się „ideałem”, staje się „czystym duchem”, staje się „*absolutum*”, staje się „rzeczą samą w sobie”... *Upadek Boga*: Bóg staje się „rzeczą samą w sobie”...

18.

Chrześcijańskie pojęcie Boga — Bóg jako Bóg chorych, Bóg jako pajak, Bóg jako duch — jest jednym z najbardziej zepsutych pojęć Boga, do jakich doszliśmy na Ziemi; być może, stanowi ono wskaźnik niskiego poziomu w zstępującej ewolucji typu bogów. Bóg, który wyrodził się w *przeciwieństwo życia*, miał być jego rozpromienieniem i wiecznym „Tak”! W Bogu zapowiedziana wrogość wobec życia, natury, woli życia! Bóg formułą wszelkiego oczerniania „świata doczesnego”, formułą każdego kłamstwa o „zaświatach”! W Bogu ubóstwienie nicości, uświęcenie woli nicości!...

19.

Potężne rasy Europy północnej nie odrzuciły od siebie chrześcijańskiego Boga, co zaiste nie przynosi zaszczytu ich predyspozycjom religijnym, nie mówiąc już o ich smaku. Z tak chorowitym i starczym wykwytem dekadencji *musialyby* się uporać. Niech będą przeklęte za to, że sobie jednak z nim nie poradziły: we wszystkie swe instynkty wchłonęły chorobę, starość, sprzeczność — odtąd nie stworzyły już żadnego Boga! Niemal dwa tysiąclecia i ani jednego nowego Boga! Zamiast tego wciąż jeszcze, jak coś uprawnionego, jako *ultimatum* i *maximum* twórczej siły boskiej, jako *creator spiritus* w człowieku, ten godny pożalowania Bóg chrześcijańskiego monotono-teizmu! ten hybrydyczny twór upadku, twór z zera, pojęcia i sprzeczności, w którym znalazły swą sankcję wszelkie instynkty dekadencji, wszelkie tchórzostwo i zmęczenie duszy! — —

Swym potępieniem chrześcijaństwa nie chciałbym popełnić niesprawiedliwości względem pewnej pokrewnej religii, która liczbą wyznawców nawet je przewyższa, względem *buddyzmu*. Obie religie należą do tej samej rodziny — obie są religiami dekadentckimi — a zarazem w najosobliwszy sposób się rozchodzą. Krytyk chrześcijaństwa jest głęboko wdzięczny indyjskiemu uczonemu za to, że obecnie można je ze sobą *porównywać*. — Buddyzm jest stokroć bardziej realistyczny niż chrześcijaństwo — ma we krwi dziedzictwo obiektywnego i

śmiałego stawiania pytań, pojawia się *po* trwającym setki lat ruchu filozoficznym, który skończył już z pojęciem „Bóg”. Buddyzm jest jedyną w dziejach prawdziwie *pozytywistyczną* religią, także w swej epistemologii (ściśle fenomenalizm —), nie mówi już o „walce z grzechem”, lecz, w pełni dopuszczając do głosu rzeczywistość, o „walce z cierpieniem”. Buddyzm — co głęboko odróżnia go od chrześcijaństwa — ma już za sobą samooszustwo pojęć moralnych — stoi, mówiąc moim językiem, *poza* dobrem i złem. — Oto dwa fakty *fizjologiczne*, na których się opiera i które rozpatruje buddyzm: *po pierwsze*, nadmierna wrażliwość zmysłowa na bodźce, która przejawia się jako wyrafinowana podatność na ból, *po drugie*, nadmierne uduchowienie, nazbyt długie życie pośród pojęć i procedur logicznych, przez co instynkt osobisty doznał szkody i stał się „bez-osobisty” (— dwa stany, które przynajmniej niektórzy moi czytelnicy, czytelnicy „obiektywni”, znać będą, jak ja sam, z doświadczenia) Na gruncie wymienionych warunków fizjologicznych pojawiła się *depresja*: przeciw której występuje Budda ze swymi praktykami higienicznymi. Stosuje on takie środki, jak życie na wolnym powietrzu, życie wędrowne, umiar i selekcja w pożywieniu; ostrożność wobec wszelkich spirytualiów; a także ostrożność wobec wszystkich afektów, które wzbudzają złość, które rozpalają krew; żadnej *troski*, ani o siebie, ani o innych. Doradza wyobrażenia, które darzą albo spokojem, albo pogodą — wynajduje środki, dzięki którym można się odzwyczaić od innych. Dobroć, bycie dobrym uważa za coś, co sprzyja zdrowiu. *Modlitwa* jest wykluczona, podobnie jak *asceza*; żadnego imperatywu kategorycznego, w ogóle żadnej *presji*, nawet w kręgu wspólnoty klasztornej (— każdy może ją znów opuścić —) Wszystko to byłyby środki służące łagodzeniu owej nadmiernej wrażliwości na bodźce. Właśnie dlatego nie wymaga on też walki z inaczej myślącymi; jego doktryna przed niczym się tak bardzo nie broni jak przed uczuciem zemsty, antypatii, resentymentu (— „wrogości nie położy kresu wrogość”: tkliwy refren całego buddyzmu...) I słusznie: właśnie te uczucia byłyby czymś zupełnie *niezdrowym* w kontekście głównego zamysłu dietetycznego. Zmęczenie duchowe, które zastaje Budda i które wyraża się nazbyt dużą „obiektywnością” (to znaczy osłabieniem interesów indywidualnych, utratą punktu ciężkości, „egoizmu”), zwalcza [on] poprzez radykalne sprowadzenie również najbardziej duchowych interesów *do osoby*. W doktrynie Buddy egoizm staje się obowiązkiem: owo Jednego potrzeba”, owo jak ty uwolnisz się od cierpienia”, regulują i wyznaczają całą dietę duchową (— zapewne można tu przypomnieć owego Ateńczyka, który również wydał wojnę czystej „naukowości”, Sokratesa, który egoizm osobisty także w królestwie problemów podniósł do rangi moralności).

Przesłanką buddyzmu jest nader łagodny klimat, ogromna delikatność i swoboda w sferze obyczajów, *brak* militarizmu; oraz warstwy wyższe — nawet uczone — w których ruch buddyjski ma swe zarzewie. Jako najwyższego celu łąknie się pogody, ciszy, braku pragnień — i *osiąga* swój cel. Buddyzm nie jest religią, w której tylko aspiruje się do doskonałości: doskonałość jest przypadkiem normalnym. —

W chrześcijaństwie na czoło wysuwają się instynkty podległych i uciemnionych: swego zbawienia szukają w nim najniższe stany społeczne. Jako *zajęcie*, jako środek na nudę uprawia się tu kazuistykę grzechu, samokrytykę, inkwizycję sumienia; stale podtrzymuje się tu (poprzez modlitwę) uczucie wobec *Mocarnego*, nazywanego „Bogiem”; rzeczy najwyższe uważa się tu za nieosiągalne, za dar, za „łaskę”. Brak tu również otwartości; kryjówka, ciemny pokój mają chrześcijański charakter. Gardzi się tu ciałem, higienę odrzuca jako zmysłowość; Kościół broni się nawet przed czystością (— po wypędzeniu Maurów pierwszym krokiem chrześcijan było zamknięcie łaźni publicznych, których sama Kordoba liczyła 270). Chrześcijański charakter ma pewien zmysł okrucieństwa, wobec siebie i wobec innych; nienawiść do inaczej myślących; wola prześladowania. Na pierwszym planie znajdują się posępne i pobudzające wyobrażenia; najbardziej pożądane stany, które określa się najwyższymi nazwami, są elipsoidami; dietę wybiera się tak, by sprzyjała zjawiskom chorobowym i rozdrażniała system nerwowy. Chrześcijański charakter ma śmiertelna wrogość

wobec panów Ziemi, wobec „dostojnych” — obok tego zaś ukryta, potajemna rywalizacja (— pozostawia się im „ciało”, pragnie się *tylko* „duszy”...) Czymś chrześcijańskim jest nienawiść do *ducha*, do dumy, odwagi, wolności, do *libertinage* ducha; czymś chrześcijańskim jest nienawiść do *zmysłów*, do radości ze zmysłów, do radości w ogóle...

22.

Chrześcijaństwo, gdy opuściło swój pierwotny grunt, najniższe stany społeczne, *podziemie* antycznego świata, gdy sięgnęło po władzę nad ludami barbarzyńskimi, za przesłankę nie miało już ludzi *zmęczonych*, lecz ludzi wewnętrznie zdziczałych i rozdartych — człowieka potężnego, ale nieudatnego. Niezadowolenie z samego siebie, cierpienie z powodu samego siebie *nie* jest tu, jak u buddysty, nadmierną wrażliwością na bodźce i podatnością na ból, lecz, odwrotnie, przemożnym pragnieniem zadawania bólu, wyładowania napięcia wewnętrznego we wrogich działaniach i wyobrażeniach. Chrześcijaństwo potrzebowało *barbarzyńskich* pojęć i wartości, aby zapanować nad barbarzyńcami: czymś takim są ofiara z pierwotnego, picie krwi jako element komunii św., pogarda dla ducha i kultury; tortura we wszystkich formach, zmysłowa i pozazmysłowa; niebywały przepych form kultu. Buddyzm jest religią dla ludzi *późnych*, dla dobrych, łagodnych ras, które stały się nadmiernie duchowe, które zbyt łatwo doznają bólu (— Europa jeszcze do niego nie dojrzała —): buddyzm na powrót prowadzi je do pokoju i pogody, do diety w dziedzinie duchowej, do pewnego zahartowania w sferze cielesności. Chrześcijaństwo chce zapanować *nad zwierzętami drapieżnymi*; jego środkiem jest rozsiewanie wśród nich *choroby* — osłabianie stanowi chrześcijański sposób *oswajania*, „cywilizowania”. Buddyzm jest religią dla cywilizacji w stadium kresu i zmęczenia, chrześcijaństwo jeszcze jej nawet nie zastaje — tu i ówdzie zakłada dopiero jej fundamenty.

23.

Buddyzm, powiedzmy jeszcze raz, jest stokroć chłodniejszy, prawdziwszy, obiektywniejszy. Buddyzm nie potrzebuje już, na drodze interpretacji grzechu, dowodzić, że jego cierpienie, jego podatność na ból są czymś *przyzwoitym* — mówi on tylko, co myśli: „cierpię”. Dla barbarzyńcy natomiast cierpienie nie jest czymś *przyzwoitym*: potrzebuje on dopiero wykładni, by się przyznać przed sobą, że cierpi (jego instynkt skłania go raczej ku wypieraniu się cierpienia, ku cichemu znoszeniu cierpienia) Słowo „diabeł” było tu dobrodziejstwem: miało się przemożnego i straszliwego wroga — można się było nie wstydzić, że się cierpi przez takiego wroga. —

Chrześcijaństwo ma u swej podstawy kilka subtelności, które należą do świata Orientu. Przede wszystkim, wie ono, że, samo w sobie, jest rzeczą najzupełniej obojętną, czy coś [stanowi] prawdę, natomiast w najwyższym stopniu ważna jest wiara w coś jako w prawdę. Prawda oraz *wiara*, że coś jest prawdą: dwa odległe od siebie światy interesów, nieledwie światy *antytetyczne* — do pierwszego i do drugiego dochodzi się z gruntu różnymi drogami. Na Wschodzie wiedza o tym nieomal *czyni mędrcom*: tak rozumieją to bramini, tak rozumie to Platon, tak rozumie to każdy adept mądrości ezoterycznej. Jeśli, na przykład, szczęście polega na wierze w odkupienie od grzechu, to ujęcie takie *nie* wymaga, by człowiek był grzeszną istotą, lecz by się *czuł* grzeszną istotą. A jeśli, w ogóle, potrzebna jest przede wszystkim wiara, to trzeba zdyskredytować rozum, poznanie, badanie: droga do prawdy staje się drogą *zakazaną*. — Mocna *nadzieja* jest znacznie większym stymulatorem życia niż jakiegokolwiek jednostkowe, rzeczywiście doznane szczęście. Cierpiących trzeba podtrzymywać nadzieją, której nie może zaprzeczyć rzeczywistość — której nie *usuwa* spełnienie: nadzieją zaświatów. (Grecy uważali nadzieję, właśnie ze względu na jej zdolność zwodzenia nieszczęśliwych, za największe zło, za prawdziwie *zdradzieckie* zło: pozostało ono w puszcze zła). — Aby *miłość* była możliwa, Bóg musi być osobą; aby mogły dojść do głosu także najbardziej podstawowe instynkty, Bóg musi być młody. Dla żarliwości niewiast trzeba wysunąć na czoło jakiegoś pięknego świętego, dla żarliwości mężczyzn Marię. Przy założeniu, że chrześcijaństwo ma zapanować nad obszarami, na których kult Afrodyty czy kult Adonisa wywarły już wpływ na *pojęcie* kultu. Wymóg *czystości płciowej* potęguje gwał-

towność i wewnętrzność instynktu religijnego — nadaje kultowi bardziej ciepły, bardziej marzycielski, bardziej nasycony duszą charakter. — Miłość jest stanem, w którym człowiek widzi rzeczy zwykle takimi, jakimi one właśnie *nie* są. Siła iluzji osiąga tu swe wyżyny, podobnie jak siła osładzania, *rozpromieniania*. W miłości można znieść więcej niż zwykle, miłość pozwala wszystko tolerować. Należało wynaleźć religię, w której można miłować: dzięki temu wychodzi się poza najgorsze strony życia — w ogóle się ich już nie widzi. — Tyle o trzech chrześcijańskich cnotach: wierze, miłości, nadziei, które nazywam trzema chrześcijańskimi *roztropnościami*. — Buddyzm jest zbyt późny, zbyt pozytywistyczny, aby być jeszcze w ten sposób roztropnym. —

24.

Dotykam tu problemu *powstania* chrześcijaństwa. *Pierwsza* teza, dotycząca rozwiązania tego zagadnienia, brzmi: chrześcijaństwo można zrozumieć jedynie na tle gleby, z której ono wyrosło — chrześcijaństwo *nie* jest ruchem skierowanym przeciwko instynktowi żydowskiemu, lecz jego konsekwencją, kolejnym wnioskiem w jego straszliwej logice. W formule Odkupiciela: „zbawienie pochodzi od Żydów”. *Druga* teza brzmi: typ psychologiczny Galilejczyka jest tu jeszcze rozpoznawalny, ale dopiero w swym całkowitym wynaturzeniu (które jest zarazem zniekształceniem i przeładowaniem obcymi naleciałościami —) typ ów mógł posłużyć do tego, do czego go użyto, do zbudowania typu *Odkupiciela* ludzkości. —

Żydzi są najosobliwszym ludem w historii powszechnej, ponieważ, postawieni przed kwestią istnienia bądź nieistnienia, z pełną i niesamowitą świadomością wybrali istnienie za *wszelką cenę*: ceną tą było radykalne *zafałszowanie* wszelkiej natury, wszelkiej naturalności, wszelkiej realności, całego świata zarówno wewnętrznego, jak i zewnętrznego. Żydzi odizolowali się *od* wszelkich warunków, w jakich do tej pory mógł żyć jakikolwiek lud, w jakich do tej pory *wolno* mu było żyć, i stworzyli sami z siebie pojęcie przeciwstawne do warunków *naturalnych* — w nieuleczalny sposób odwrócili kolejno religię, kult, moralność, historię, psychologię w *przeciwieństwo ich naturalnej wartości*. To samo zjawisko spotykamy jeszcze raz, w niewyraźnie zwiększonych proporcjach, niemniej jednak tylko jako kopię: Kościołowi chrześcijańskiemu brak, w porównaniu z „ludem świętych”, jakiegokolwiek oryginalności. Żydzi, właśnie dlatego, są *najbardziej nieszczęsnym* ludem w historii powszechnej: swym wpływem tak zafałszowali ludzkość, że jeszcze dziś chrześcijanin może żywić uczucia antyżydowskie, nie pojmując, że jest *ostateczną żydowską konsekwencją*.

W swej *Genealogii moralności* po raz pierwszy przedstawiłem, z psychologicznego punktu widzenia, przeciwstawne pojęcia moralności *dostojnej* i moralności opartej na resentymencie, której źródłem jest „Nie” wobec tej pierwszej: moralnością opartą na resentymencie jest zaś, w całej rozciągłości, moralność żydowsko-chrześcijańska. By móc powiedzieć „Nie” wszystkiemu, co stanowi na Ziemi *wstępujący* ruch życia, udatność, moc, piękno, autoafirmację, musiał instynkt resentymentu, który stał się tu *geniuszem*, wynaleźć sobie *inny świat*, z którego perspektywy owa *afirmacja życia* jawiła się jako coś złego samo w sobie, coś, co samo w sobie zasługuje na odrzucenie. Psychologicznie rzecz ujmując, lud żydowski jest ludem o najwytrwalszej sile życia, który, przeniesiony w niemożliwe warunki istnienia, dobrowolnie, z najgłębszej roztropności, służącej zachowaniu samego siebie, wziął stronę wszystkich instynktów dekadencji — *nie* dlatego, iżby był przez nie opanowany, lecz dlatego, że odgadł w nich moc, dzięki której można przeforsować samego siebie *wbrew „światu”*. Żydzi są przeciwieństwem wszelkiego dekadenta: musieli go sobą *przedstawiać* aż do złudzenia, dzięki *non plus ultra* aktorskiego geniuszu umieli stanąć na czele wszelkich ruchów dekadencji (— jako chrześcijaństwo *Pawia* —), aby stworzyć z nich coś, co jest potężniejsze od wszelkiego stronnictwa, które mówi życiu „Tak”. Dla typu człowieka, który w judaizmie i chrześcijaństwie dochodzi do władzy, dla typu *kapłańskiego*, dekadencja jest tylko *środkiem*: ów typ człowieka ma w tym swój życiowy interes, by ludzkość zarazić *chorobą*, a pojęcia, takie jak „dobry” i „zły”, „prawdziwy” i „fałszywy”, odwrócić i nadać im niebezpieczne dla życia, zniesławiające świat znaczenie.

25.

Dzieje Izraela są nieocenione jako typowe dzieje wszelkiej *de.naturalizacji* wartości naturalnych: zasygnalizuję pięć jej faktów. Pierwotnie, przede wszystkim w czasach królestwa, także Izrael pozostawał do wszystkich rzeczy w *trafnym*, to znaczy w naturalnym stosunku. Jego Jahwe był wyrazem świadomości mocy, radości z siebie, nadziei co do siebie: oczekiwano po nim zwycięstwa i pomyślności, dzięki niemu ufano naturze, że da to, czego lud potrzebuje — przede wszystkim deszcz. Jahwe jest Bogiem Izraela, *a zatem* Bogiem sprawiedliwości: oto logika każdego ludu, który ma moc i czyste w tej materii sumienie. W uroczystym kulcie wyrażają się obie te strony autoafirmacji ludu: jest on wdzięczny za wielkie losy, dzięki którym góruje, za cykl pór roku i wszelką pomyślność w hodowli bydła i uprawie roli. — Taki stan rzecz[*y*] przez długi jeszcze czas pozostawał ideałem, również wtedy, gdy nadszedł jego smutny koniec: wewnątrz anarchia, na zewnątrz Asyryjczycy. Lud jednak trzymał się, jako czegoś najbardziej pożądanego, owej wizji króla, który jest dobrym żołnierzem i surowym sędzią: przede wszystkim ów typowy prorok (to znaczy doraźny krytyk i satyryk) Izajasz. — Ale żadna nadzieja się nie spełniła. Stary Bóg nie był już *zdolny* do żadnej z rzeczy, które niegdyś potrafił. Należałoby się go pozbyć. Co się zdarzyło? *Zmieniono* jego pojęcie — *zdenaturalizowano* jego pojęcie: za tę cenę go utrzymano. — Jahwe, Bóg „sprawiedliwości” — *już nie* jedność z Izraelem, *już nie* wyraz samopoczucia ludu: już tylko Bóg pod pewnymi warunkami... Jego pojęcie staje się narzędziem w rękach kapłańskich agitatorów, którzy wszelkie szczęście interpretują teraz jako nagrodę, wszelkie nieszczęście natomiast jako karę za nieposłuszeństwo względem Boga, za „grzech”: najbardziej zakłamana maniera interpretacji rzekomo „etycznego porządku świata”, którą, raz na zawsze, postawiono na głowie naturalne pojęcia „przyczyny” i „skutku”. Dopiero po usunięciu, za pośrednictwem kategorii nagrody i kary, naturalnej przyczynowości, niezbędna staje się przyczynowość sprzeczna z *naturą*: teraz przychodzi kolej na całą resztę nienaturalności. Bóg, który *żąda* — w miejsce Boga, który pomaga, który doradza, który, w istocie rzeczy, jest słowem oznaczającym wszelką fortuną inspirację, opartą na odwadze i zaufaniu we własne siły... *Moralność*, która nie jest wyrazem warunków życia i wzrostu lud[*u*], która nie jest już jego najbardziej podstawowym instynktem życia, lecz stała się abstrakcją, przeciwieństwem życia — moralność jako zasadnicze zmarnienie wyobraźni, jako „złe spojrzenie” na wszystkie rzeczy. Czym jest żydowska, czym jest chrześcijańska moralność?

Przypadkiem, pozbawionym niewinności; nieszczęściem, splamionym przez pojęcie „grzechu”; pojmowaniem dobrego samopoczucia jako niebezpieczeństwa, jako „pokusy”; fizjologicznie złym samopoczuciem, zatrutym przez robactwo sumienia...

26.

Sfałszowane pojęcie Boga; sfałszowane pojęcie moralności: — żydowscy kapłani nie poprzestali na tym. Gałę *dzieje* Izraela były niepotrzebne: precz z nimi! — Żydowscy kapłani dokonali owego cudownego dzieła fałszerstwa, którego dokumentem jest znaczna część Biblii: bezprzykładnie urągając wszelkim przekazom, wszelkiej rzeczywistości historycznej, przeszłość swego własnego ludu *przełożyli na język religijny*, to znaczy uczynili z niej głupi mechanizm zbawienia, oparty na winie względem Jahwe i na karze, na pobożności względem Jahwe i na nagrodzie. Ten najhaniebniejszy akt zafałszowania historii odczuliśmy znacznie boleśniej, gdyby *kościelna* interpretacja dziejów przez tysiąclecia nieomal nie stępiła w nas zmysłu prawości *in historicis*. Kościołowi wtórowali filozofowie: *kłamstwo* „etycznego porządku świata” ciągnie się przez cały okres rozwoju nawet nowszej filozofii. Co to znaczy: „etyczny porządek świata”? To znaczy, że istnieje, ustalona raz na zawsze, wola Boża, która wyznacza, co człowiek ma czynić, a czego zaniechać; że wartość ludu, wartość jednostki tym się mierzy, w jak dużym czy w jak małym stopniu są oni posłuszni woli Bożej; że w losach ludu, w losach jednostki wola Boża okazuje się wolą

panującą, to znaczy wolą karzącą i nagradzającą, zależnie od stopnia posłuszeństwa. Rzeczywistość, zamiast tego pożałowania godnego kłamstwa, wygląda Jak *kapłan*, pasożytniczy typ człowieka, rozkwitający tylko kosztem wszelkich zdrowych tworów życia, nadużywa imienia Boga: „Królestwem Bożym” nazywa taki stan rzeczy, w którym to właśnie kapłan określa wartość rzeczy; „wola Bożą” nazywa środki, dzięki którym można taki stan osiągnąć czy utrzymać; z zimnym cynizmem ocenia ludy, epoki, jednostki wedle tego,

czy przynosiły pożytek dominacji kapłanów, czy też się jej przeciwstawiały. Wystarczy ich widzieć przy robocie: w rękach żydowskich kapłanów *wielka* epoka w dziejach Izraela stała się epoką upadku; wygnanie, długotrwałe nieszczęście przeobraziło się w *karę* wieczną za okres wielkości — okres, w którym kapłan był jeszcze niczym... Z potężnych, *wolnych* postaci w dziejach Izraela czynili, zależnie od potrzeb, nędznych świętoszków i bigotów bądź „bezbożników”, upraszczali psychologię każdego wielkiego wydarzenia, sprowadzając ją do idiotycznej formuły „posłuszeństwo *bądź* nieposłuszeństwo względem Boga”. — Krok dalej: „wola Boża”, to znaczy warunki utrzymania władzy przez kapłana, musi być *znana* — do tego potrzebne jest „objawienie”. Mówiąc naszym językiem: niezbędne jest wielkie fałszerstwo literackie, odkrywa się „Pismo święte” — podawane do publicznej wiadomości z hieratyczną pompą, z dniami pokutnymi i z lamentami nad długotrwałym „grzechem”. „Wola Boża” była od dawien dawna ustalona: całe nieszczęście bierze się stąd, że oddalono się od „Pisma świętego”... Już Mojżeszowi objawiła się „wola Boża”... Co się zdarzyło? Kapłan, z całą surowością, z całą pedanterią, aż po małe i duże podatki, które należy mu płacić (— nie zapominając o najsmakowitszych kawałkach mięsiwa: bo kapłan jest pożeraczem befsztyków), raz na zawsze sformułował, *co chce mieć*, „co jest wola Bożą”... odtąd wszystkie sprawy życia są tak urządzone, że kapłan jest *wszędzie niezbędny*; przy wszystkich naturalnych wydarzeniach życiowych, przy narodzinach, ślubie, chorobie, śmierci, nie mówiąc o ofierze („posiłku”), pojawia się świątobliwy pasożyt, by je *pozbawić naturalności*: w jego języku nazywa się to „uświęceniem”... Trzeba bowiem pojąć, że każdy naturalny obyczaj, każda naturalna instytucja (państwo, sądownictwo, małżeństwo, opieka nad chorymi i ubogimi), wszystkie przez instynkt życia wysuwane żądania, krótko mówiąc: wszystko, co swą wartość ma *w sobie samym*, zostaje przez pasożytnictwo kapłana (czyli „etycznego porządku świata”) uczynione czymś z gruntu bezwartościowym, *sprzecznym* z wartością: wymaga dopiero usankcjonowania — niezbędna jest *użyczająca wartości* moc, która neguje w nich naturę, moc, która właśnie dopiero tym sposobem spara wartość... Kapłan pozbawia naturę wartości, *świętości*: kapłan może się w ogóle ostać tylko za tę cenę. — Nieposłuszeństwo względem Boga, to znaczy względem kapłana, względem „prawa”, otrzymuje teraz miano „grzechu”; środki, dzięki którym można się ponownie „pojednać z Bogiem”, są, rzecz jasna, środkami, które jeszcze gruntowniej gwarantują podporządkowanie kapłanowi: jedynie kapłan „odkupuje”... Z psychologicznego punktu widzenia, w każdej zorganizowanej przez kapłanów społeczności niezbędne stają się „grzechy”: są one właściwymi instrumentami władzy, kapłan żyje z grzechów, potrzebuje, by „grzeszono”... Naczelna zasada: „Bóg przebacza temu, kto czyni pokutę w naszym języku: *kto podporządkowuje się kapłanowi*. —

27.

Na *tym* oto *fałszywym* gruncie, na którym wszelka natura, wszelka wartość naturalna, wszelka *realność* miały przeciwko sobie najgłębsze instynkty klasy panującej, wyrosło *chrześcijaństwo*, forma śmiertelnej wrogości wobec rzeczywistości, forma, której nic dotychczas nie prześcignęło. „Święty lud”, który dla wszystkich rzeczy zachował tylko wartości kapłańskie, tylko słowa kapłańskie, i z konsekwencją, która może budzić strach, wszystko, co na Ziemi miało jeszcze moc, odrzucił od siebie jako „nieświęte”, jako „świat”, jako „grzech” — ów lud stworzył dla swego instynktu ostateczną formułę, której logika prowadziła aż do jego własnej autonegacji: zanegował on jeszcze, jako *chrześcijaństwo*, ostatnią formę

rzeczywistości, sam „lud święty”, sam „lud wybrany”, samą *żydowską* rzeczywistość. Pierwszorzędny przypadek: mały, buntowniczy ruch, ochrzczony imieniem Jezusa z Nazaretu, *jest jeszcze raz* instynktem żydowskim — inaczej mówiąc, instynktem kapłańskim, który nie znosi już kapłana jako rzeczywistości, wynalazkiem jeszcze bardziej *oderwanej* formy istnienia, jeszcze bardziej *nierealnej* wizji świata, niż wymaga tego organizacja Kościoła. Chrześcijaństwo *neguje* Kościół...

Nie widzę, przeciwko czemu miałyby się kierować bunt, za którego sprawcę uchodził, w ludzkim rozumieniu czy też *nieporozumieniu*, Jezus, jeśli nie przeciwko żydowskiemu Kościołowi, Kościołowi w dokładnie tym sensie, w jakim dziś używamy tego słowa. Był to bunt przeciwko „dobrym i sprawiedliwym”, przeciwko „świętym Izraela”, przeciwko hierarchii społeczeństwa — *nie* przeciw jego zepsuciu, lecz przeciw kaście, przywilejom, porządkowi, formule; był on *niewiarą* w „ludzi wyższych”, był „Nie”, powiedzianym przeciw wszystkiemu, czym był kapłan i teolog. Hierarchia wszakże, którą bunt ów, jakkolwiek jedynie na chwilę, zakwestionował, była budowlą na palach, dzięki której lud żydowski, pośród „wód”, w ogóle jeszcze mógł istnieć, była z trudem wywalczoną, *ostatnią* możliwością przetrwania, była *residuum* jego odrębnej egzystencji politycznej: atak na nią był atakiem na najgłębszy instynkt ludu, na najwytrwalszą wolę życia ludu, jaka kiedykolwiek pojawiła się na Ziemi. Ten święty anarchista, który wezwał pospółstwo, odepchniętych i „grzeszników”, żydowskich *czandalów*, do sprzeciwu wobec panującego porządku — językiem, który, jeśli ufać Ewangeliom, i dziś jeszcze prowadziłby na Sybir, był zbrodniarzem politycznym, o ile zbrodniarze polityczni byli możliwi w *absurdalnie apolitycznej* wspólnotcie. To doprowadziło go na krzyż: dowodem napis na krzyżu. Umarł za swą winę — brak jakichkolwiek podstaw do twierdzenia, które często głoszą, że umarł za winę innych. —

28.

Zupełnie inną kwestią jest pytanie, czy w ogóle miał on świadomość takiego przeciwieństwa — czy jedynie nie *odczuwano* go jako przeciwieństwa. Dopiero tutaj dotykam problemu *psychologii Odkupiciela*. — Wyznaję, że niewiele książek czytam z takimi trudnościami jak Ewangelie. Trudności te są zupełnie inne niż trudności, których wykazanie uczona ciekawość niemieckiego ducha święciła jako swój najbardziej niezapomniany tryumf. Odległe to czasy, gdy także ja, jak każdy młody uczony, z roztropną powolnością wyrefinowanego filologa rozkoszowałem się dziełem niezrównanego Straussa. Miałem wówczas dwadzieścia lat: teraz jestem na to zbyt poważny. Cóż mnie obchodzą sprzeczności „przekazu”? Jak w ogóle można legendy o świętych nazywać „przekazem”? Historie świętych są najbardziej dwuznaczną literaturą, jaka w ogóle istnieje: stosowanie w odniesieniu do nich metody naukowej, *gdy prócz nich nie ma żadnych innych dokumentów*, wydaje się mi z góry skazane na niepowodzenie — nic więcej jak czcze zajęcie naukowe...

29.

Problemem, który *mnie* obchodzi, jest typ psychologiczny Odkupiciela. Jakkolwiek zniekształcony czy obciążony obcymi naleciałościami, typ ten *mógłby* wszak być zawarty w Ewangeliach, pomimo Ewangelii: tak jak typ psychologiczny Franciszka z Asyżu zachował się w jego legendach, pomimo jego legend. Me obchodzi mnie prawda o jego czynach, jego słowach, jego śmierci: lecz pytanie, czy jego typ można sobie jeszcze w ogóle przedstawić, czy jego typ został „przekazany”? — Znane mi próby wyczytania z Ewangelii nawet *dziejów* duszy wydają się mi dowodem obrzydliwej lekkomyślności psychologicznej. Pan Renan, ten trefniś *in psychologicis*, wprowadził, dla wyjaśnienia typu Jezusa, dwa najbardziej *niesłychane* pojęcia: pojęcie *geniuszu* i pojęcie *bohatera* („*heros*”). Jeśli wszakże można o czymś powiedzieć, że nie ma ewangelicznego charakteru, to właśnie o pojęciu bohatera. W Ewangeliach instynktem stało się właśnie przeciwieństwo wszelkich zmagających, wszelkiego poczucia walki: w Ewangeliach moralnością stała się niezdolność do sprzeciwu („nie sprzeciwiaj się złu” — najgłębsze słowo Ewangelii, w pewnym sensie klucz do nich), błogość

w pokoju, w łagodności, *niemożności* bycia wrogiem. Co oznacza „radosna nowina”? Oznacza ona, że znaleziono życie prawdziwe, życie wieczne — nie obiecuje się go, ono istnieje, jest w *was*: jako życie w miłości, w miłości bez obwarowań, bez dystansu. Każdy jest dzieckiem Bożym — Jezus niczego nie chce wyłącznie dla siebie — jako dzieci Boże wszyscy są sobie równi... Z Jezusa czynić *bohateral* — A jakimż nieporozumieniem jest słowo „geniusz”! W świecie, w którym żył Jezus, całe nasze pojęcie, nasze kulturowe pojęcie „duch” nie ma żadnego sensu! Mówiąc ze ścisłością fizjologa: bardziej na miejscu byłoby tu zupełnie inne słowo, mianowicie słowo „idiota”. Znamy stan chorobliwej wrażliwości *zmysłu dotyku* na bodźce, stan, w którym człowiek wzdraga się przed wszelkim kontaktem, przed wszelkim dotykiem twardych przedmiotów. Przełożmy sobie taki fizjologiczny *habitus* na jego ostateczną logikę — jako instynktowna nienawiść do *wszelkiej* rzeczywistości, jako ucieczka w sferę nieuchwytności, w sferę niepojmowalności, jako awersja do każdej formuły, do każdego pojęcia czasu i przestrzeni, do wszystkiego, co jest twarde, co jest obyczajem, instytucją, Kościołem, jako zadomowienie w świecie, którego nie dotyka już żadna rzeczywistość, w świecie już tylko „wewnętrznym”, w świecie „prawdziwym”, w świecie „wiekuistym”... „Królestwo Boże jest w *was*”...

30.

Instynktowna nienawiść do rzeczywistości: następstwo skrajnej podatności na cierpienie i bodźce, która w ogóle nie chce już, by jej „dotykano”, ponieważ zbyt głęboko odczuwa każde dotknięcie.

Instynktowne wykluczanie wszelkiej antypatii, wszelkiej wrogości, wszelkiej granicy i dystansu w sferze uczuciowej: następstwo skrajnej podatności na cierpienie i bodźce, która wszelki sprzeciw, wszelką konieczność sprzeciwu odczuwa już jako nieznośną *nieprzyjemność* (to znaczy jako coś *szkodliwego*, jako coś *odradzanego* przez instykt samozachowawczy), a błogość (przyjemność) widzi jedynie w takim stanie, w którym człowiek nie musi już nikomu się sprzeciwiać, ani złu świata, ani złu człowieka — miłość jako jedyna, jako *ostateczna* możliwość życia...

Są to dwie *realności fizjologiczne*, na których, z których wyrosła doktryna odkupienia. Nazywam ją wzniosłym rozwinięciem hedonizmu, opartym na zupełnie chorych fundamentach. Najbardziej z nią spokrewniony, choć wsparty przez grecką witalność i siłę nerwową, pozostaje epikureizm, pogańska doktryna odkupienia. Epikur to *typowy dekadent*: jestem pierwszym, kto rozpoznał go jako takiego.

— Strach przed bólem, nawet przed nieskończeniem małym bólem

— nie *może* się skończyć inaczej jak *religią miłości*...

31.

Z góry udzieliłem odpowiedzi na swój problem. Zakłada ona, że typ Odkupiciela zachował się dla nas tylko w mocno zniekształconej postaci. Zniekształcenie to zawiera w sobie sporą dozę prawdopodobieństwa: z wielu powodów typ taki nie mógł pozostać czysty, całkowity, wolny od wszelkich dodatków. Musiały na nim odcisnąć swój ślad zarówno *milieu*, w którym poruszała się ta obca postać, jak i, w jeszcze większym stopniu, dzieje, *los* pierwotnej gminy chrześcijańskiej: oddziałując wstecz, wzbogaciły one typ Odkupiciela o rysy, które stają się zrozumiałe dopiero poprzez pryzmat wojny i celów propagandowych. Ów osobliwy i chory świat, w który wprowadzają nas Ewangelie — świat niczym z jakiejś rosyjskiej powieści, w której wyrzutek społeczeństwa, cierpienie nerwowe i „dziecięcy” idiotyzm urządziły sobie, zda się, schadzkę — z pewnością musiał, w tych okolicznościach, *sprymitywizować* typ: zwłaszcza pierwsi uczniowie najpierw przełożyli sobie byt, który opływa w symbole i niepojęte słowa, na własną surowiznę, aby w ogóle coś z niego zrozumieć — dla nich typ był *obecny* dopiero po wtłoczeniu w bardziej znane formy... Prorok, mesjasz, przyszły sędzia, nauczyciel moralności, cudotwórca, Jan Chrzciciel — tyle sposobności, by nie rozpoznać tego typu... Nie lekceważmy również roli *proprium* wszelkiej wielkiej, mianowicie sekciarskiej, czci: z czczonoj istoty wymazuje ona pierwotne, nierzadko boleśnie obce rysy i idiosyn-krazje — *nawet ich nie widzi*. Można żałować, że w pobliżu tego najbardziej interesującego

dekadenta nie żył jakiś Dostojewski, to znaczy ktoś, kto właśnie umiałby odczuć przejmujący urok takiej mieszaniny wzniosłości, chorowitości i dziecięcości. Ostatni aspekt: typ *mógłby* się rzeczywiście, jako typ dekadentki, cechować specyficzną wielością i sprzecznością: możliwości takiej nie można całkowicie wykluczać. Niemniej jednak wszystko od niej odwodzi: właśnie w tym przypadku przekaz musiałby być osobliwie wierny i obiektywny: mamy powody, by zakładać coś przeciwnego. Tymczasem pomiędzy kaznodzieją, który naucza na górze, nad jeziorem i na łąkach, którego postać, niby postać jakiegoś Buddy na dalekim od indyjskiego gruncie, roztacza szczególny wdzięk, a owym fanatykiem ataku, śmiertelnym wrogiem teologów i kapłanów, którego złośliwość Renana uświetniła jako *le grand maitre en ironie*, rysuje się rażąca sprzeczność. Osobiście nie mam wątpliwości, że sporo żółci (a nawet *esprii*) przelało się na typ Mistrza dopiero ze wzburzonego stanu chrześcijańskiej propagandy: dobrze wszak wiadomo, że wszyscy sekciarze bez jakichkolwiek skrupułów sporządzają sobie ze swego mistrza własną *apologię*. Gdy pierwsza gmina potrzebowała sądu, kłóliwego, gniewnego, złośliwie pokrętnego teologa, *przeciwko* teologom, *stworzyła* sobie swego Boga, odpowiednio do swych potrzeb: tak jak i bez wahania włożyła mu w usta owe zupełnie nieewangeliczne pojęcia, które były jej teraz niezbędne, takie jak „powrót”, „Sąd Ostateczny”, wszelkiego rodzaju doczesne oczekiwania i obietnice. —

32

Mówiąc jeszcze raz: sprzeciwiam się, by w typ Odkupiciela wpisywano rysy fanatyka: już samo słowo *imperieux*, którego używa Renan, *anuluje* ten typ. „Dobrą nowiną” jest to właśnie, że nie ma już przeciwieństw; Królestwo Niebieskie należy do *dzieci*; wiara, którą się tu głosi, nie jest wiarą wywalczoną — istnieje ona od początku, jest niejako dziecinnością, którą kamufluje duchowość. Przynajmniej fizjologom jest znany przypadek przewlekłej młodości nierozwiniętego organizmu, stanowiącej następstwo wynaturzenia. — Wiara taka nie gniewa się, nie gani, nie broni się: nie wyciąga „miecza” — zupełnie nie przeczuwa, z jakiego względu mogłaby się kiedyś stać przyczyną podziałów. Nie dowodzi samej

siebie, ani cudami, ani nagrodą i obietnicą, ani nawet „Pismem”: sama jest w każdej chwili swym własnym cudem, swą własną nagrodą, swym własnym dowodem, swym własnym „Królestwem Bożym”. Wiara ta nie nadaje sobie także formuł — ona *żyje*, broni się przed formułami. Rzecz jasna, otoczenie, język, wykształcenie jako przygodne czynniki wyznaczają pewien krąg pojęć: pierwotne chrześcijaństwo operuje *tylko* żydowsko-semickimi pojęciami (— należy tu spożywanie chleba i wina w trakcie Komunii św., która, jak wszystko, co żydowskie, jest tak źle nadużywanym przez Kościół pojęciem) Trzeba jednak uważać, by nie widzieć w tym niczego więcej jak tylko mowa znaków, semiotyka, sposobność do przypowieści. Żadnego ze słów nie bierze się tu dosłownie, co dla tego antyrealisty jest warunkiem wstępnym wszelkiego mówienia. Wśród Hindusów posługiwałby się on pojęciami systemu *samkhyam*, wśród Chińczyków pojęciami Laotsego — i nie odczułby przy tym żadnej różnicy. — Można by, z niejaką tolerancją terminologiczną, nazwać Jezusa „wolnym duchem” — który nic sobie nie robi z wszystkiego, co ustalone: słowo *zabija*, wszystko, co ustalone, *zabija*. Pojęcie, „doświadczenie życia”, znane tylko Jezusowi, sprzeciwia się wszelkiemu słowu, wszelkiej formule, wszelkiemu prawu, wszelkiej wierze, wszelkiemu dogmatowi. Mówi on tylko o najgłębszym wnętrzu: słowa, takie jak „życie”, czy „prawda”, czy „światło”, są u niego słowami, które oznaczają najgłębsze wnętrze — wszystko pozostałe, cała rzeczywistość, cała natura, sam język, ma dla niego jedynie wartość znaku, przypowieści. — Nie wolno się tu pomylić, choć ogromna jest pokusa, która kryje się w chrześcijańskim, to znaczy w *kościelnym* przesądzie: taka symbolika *par excellence* pozostaje poza wszelką religią, poza wszelkimi pojęciami kultu, poza wszelką historią, poza wszelkim przyrodoznawstwem, poza wszelkim doświadczeniem świata, poza wszelkimi wiadomościami, poza wszelką polityką, poza wszelką psychologią, poza wszelkimi książkami,

poza wszelką sztuką — jego „wiedza” to właśnie głupota co do faktu, że coś takiego istnieje. *Kultura* nie jest mu znana nawet ze słyszenia, nie potrzebuje z nią walczyć — nie neguje jej... To samo dotyczy *państwa*, całego porządku obywatelskiego i społeczeństwa, *pracy*, wojny — nigdy nie miał powodu, by negować „świat”, nigdy nie przyszło mu nawet do głowy kościelne pojęcie „świata”... *Negowanie* jest dlań właśnie zupełną niemożliwością. — Podobnie brak mu dialektyki, brak wyobrażenia, że jakąś wiarę, jakąś prawdę można by dowodzić argumentami (—jego dowodami są „światła” wewnętrzne, uczucia przyjemności wewnętrznej i autoafirmacja, same „dowody z siły” —) Nauka taka nie *może* też niczemu zaprzeczać, zupełnie nie pojmuje, że istnieją, że *mogą* istnieć inne doktryny, zupełnie nie potrafi sobie wyobrazić, że można prezentować przeciwstawne sądy... Gdy je napotyka, w najgłębszym współczuciu smuci się ich ślepotą — bo przecież ona widzi „światło” — ale nie wystąpi z żadnym zarzutem...

33.

W całej psychologii „ewangelii” brak pojęć „winy” i „kary”; tak samo pojęcia „nagrody”. „Grzech”, wszelki stosunek dystansu pomiędzy Bogiem i człowiekiem zostaje usunięty — właśnie to jest „radosną nowiną”. Nie obiecuje się błogości, nie wiąże jej z jakimiś warunkami: błogość jest *jedyną* realnością — wszystko inne to znaki, dzięki którym można o niej mówić...

Następstwo takiego stanu projektuje się na nową *praktykę*, właściwie ewangeliczną praktykę. Momentem, który wyróżnia chrześcijanina, nie jest „wiara”: chrześcijanin działa, wyróżnia się *odmiennością* działania. Wyróżnia się tym, że ani swym słowem, ani w swym sercu nie sprzeciwia się człowiekowi, który jest wobec niego zły. Że nie robi różnicy między obcym i tubylcem, między Żydem i nie-Żydem („bliźni” to właściwie współwyznawca, Żyd) Że na nikogo się nie gniewa, nikogo nie lekceważy. Że ani nie pokazuje się w sądach, ani nie daje się zaangażować („nie przysięgać”) Że w żadnym razi[e], nawet w przypadku dowiedzionej niewierności nie rozstaje się z nią. — Wszystko, w gruncie rzeczy, jedną zasadą, wszystko następstwem jednego instynktu —

Życie Odkupiciela nie było niczym innym jak *taką* praktyką — również jego śmierć nie była niczym innym... Nie potrzebował on już żadnych formuł, żadnego rytu dla obcowania z Bogiem — nawet modlitwy. Rozliczył się z całą żydowską doktryną pokuty i pojednania; wie, że jedynie dzięki *praktyce* życia można się czuć „bosko”, „błogo”, „ewangelicznie”, stale czuć się „dzieckiem Bożym”. Drogą do Boga *nie* jest „pokuta”, *nie* jest „modlitwa o przebaczenie”:./ed,)we ewangeliczna praktyka prowadzi do Boga, właśnie *ona* jest „Bogiem” — Sprawami, z którymi zerwała ewangelia, był judaizm pojęć „grzechu”, „przebaczenia grzechu”, „wiary”, „odkupienia poprzez wiarę” — „radosna nowina” zanegowała całą judaistyczną doktrynę *Kościola*.

Głęboki instynkt, który dyktuje, jak należy żyć, aby czuć się niebiańsko, aby czuć się „wiecznym”, podczas gdy wszelka inna postawa *nie* pozwala czuć się niebiańsko: jedynie to jest psychologiczną realnością „zbawienia”. — Nowy sposób życia, *nie* zaś nowa wiara...

34.

Jeśli cokolwiek rozumiem z tego wielkiego symbolisty, to tyle, że jedynie realności *wewnętrzne* uważał on za realności, za „prawdy” — że całą resztę, wszystko, co naturalne, czasowe, przestrzenne, historyczne, pojmował tylko jako znak, jako sposobność do przypowieści. Pojęcie „syn człowieczy” nie oznacza jakiejś konkretnej osoby, która by należała do historii, czegoś jednostkowego, jednorazowego, lecz „wieczną” faktyczność, symbol psychologiczny, uwolniony od pojęcia czasu. To samo odnosi się, w wyższym sensie, do *Boga* w ujęciu tego typowego symbolisty, do „państwa Bożego”, do „królestwa niebieskiego”, do „synostwa Bożego”. Nic nie jest tak niechrześcijańskie jak *kościelne surowizny* o Bogu jako

osobie, o „Królestwie Bożym”, które *nadchodzi*, o „Królestwie Niebieskim” w *zaświatach*, o „Synu Bożym”, *drugiej osobie* Trójcy Świętej. Wszystko to pasuje — przepraszam za słowo — jak *pięść* do nosa

— o, i to jakiego nosa! nosa Ewangelii; *cynizm*, na *miarę historii powszechnej*, w kpinie z symbolu... A przecież jak na dłoni widać, czego dotyczą znaki „Ojciec” i „Syn” — nie na każdej dłoni, zgoda: słowo „Syn” wyraża *wejście* w uczucie ogólnego rozpromienienia się wszystkich rzeczy (błogość), słowo „Ojciec” *samo to uczucie*, uczucie wieczności, spełnienia. — Wstyd mi przypominać, co z tego symbolizmu zrobił Kościół: czyż u progu chrześcijańskiej wiary nie postawił historii o Amfitrionie? A nadto jeszcze dogmatu o „niepokalanym poczęciu”?... *Tym sposobem jednak pokalał poczęcie* — —

„Królestwo Niebieskie” jest stanem serca — nie zaś czymś, co nadejdzie „ponad Ziemią” czy „po śmierci”. W ewangelii *brak* całego pojęcia śmierci naturalnej: śmierć nie jest pomostem, przejściem, brakuje jej, ponieważ należy ona do zupełnie innego, tylko pozornego, tylko za znak służącego świata. „Godzina śmierci” *nie* jest chrześcijańskim pojęciem — „godzina”, czas, życie fizyczne i jego kryzysy nie istniały dla nauczyciela „radosnej nowiny”... „Królestwo Niebieskie” nie jest czymś, czego się oczekuje; nie ma ono żadnego „wczoraj” i „pojutrze”, nie nastąpi za „tysiąc lat” — jest ono doświadczeniem serca; jest wszędzie, jest nigdzie...

35.

Ten „posłaniec radosnej nowiny” umarł tak, jak żył, jak *nauczał nie* po to, by „odkupić ludzi”, lecz by pokazać, jak należy żyć. Ludzkości pozostawił *praktykę*: swe zachowanie wobec sędziów, wobec siepaczy, wobec oskarżycieli, wobec wszelkich potwarzy i kpin swe zachowanie na *krzyżu*. Nie opiera się, nie broni swych praw, nie robi żadnego kroku, który by go mógł ochronić przed ostatecznością, co więcej, *wyzywają*... I prosi, cierpi, miłuje z tymi, w tych, którzy wyrządzają mu zło... Całą ewangelię zawierają słowa skierowane do łotra na krzyżu. „Zaprawdę, był to człowiek *boski*, dziecię Boże”, powiada łotr. „Jeśli to czujesz — odpowiada Odkupiciel — *będziesz w raju*, także ty będziesz dzieckiem Bożym...” *Nie* bronić się, *nie* gniewać, *nie* czynić odpowiedzialnym... Lecz także nie sprzeciwiać się złu — *miłować* je...

36.

— Dopiero my, duchy, które stały się *wolnymi* duchami, mamy przesłanki, by zrozumieć coś, co dziewiętnaście stuleci błędnie rozumiało — ową w instynkt i pasję przetworzoną prawość, która ze „świętym kłamstwem” walczy jeszcze bardziej niż z wszelkim innym kłamstwem... Było się niewyraźnie odległym od naszej serdecznej i ostrożnej neutralności, od owej dyscypliny ducha, która jako jedyna pozwala się domyślać tak obcych, tak subtelnych spraw: zawsze, z bezwstydnym samolubstwem, dążono tylko do *swojej* korzyści, zbudowano *Kościół* z przeciwieństwa ewangelii...

Kto szukałby znaków tego, że w wielkiej grze świata miesza swe palce jakieś ironiczne bóstwo, ten znalazłby niemałe oparcie w *ogromnym znaku zapytania*, który zwie się chrześcijaństwem. Że ludzkość klęczy na kolanach przed przeciwieństwem wszystkiego, co było źródłem, sensem, *prawem* ewangelii, że w pojęciu „Kościoła” właśnie to kanonizowała, co „posłaniec radosnej nowiny” odczuwał jako leżące *poniżej* niego, *poza* nim — daremnie szukać większej formy *światowej ironii* — —

37.

Epoka nasza jest dumna ze swego zmysłu historycznego: jakimż sposobem potrafiła uwiarygodnić tę niedorzeczność, jakoby u początku chrześcijaństwa znajdowała się *prymitywna bajka o cudotwórcy i Odkupicielu* — jakoby wszystko, co duchowe i symboliczne, było wynikiem późniejszego rozwoju? Przeciwnie: dzieje chrześcijaństwa — od śmierci na krzyżu — są dziejami coraz prymitywniejszej dezinterpretacji *pierwotnego* symbolizmu. Z każdą ekspansją chrześcijaństwa na coraz szersze, coraz surowsze masy, coraz bardziej oderwane od przesłanek, z których zrodziło się chrześcijaństwo, coraz bardziej niezbędną

stawiała się potrzeba jego *wulgaryzacji, barbaryzacji* — chrześcijaństwo wchłonęło w siebie doktryny i rytę wszystkich *podziemnych* kultów Imperium Romanum, wszelkiego rodzaju absurdu chorego rozumu. Wiara chrześcijańska musiała, koniecznością losu chrześcijaństwa, stać się tak chora, tak niska i tak wulgarna, jak chore, niskie i wulgarne były potrzeby, które miała zaspokajać. Na koniec samo *chore barbarzyństwo* jednoczy się w potęgę jako Kościół — Kościół, ta forma śmiertelnej wrogości do wszelkiej prawości, wszelkiej *wzniosłości* duszy, do dyscypliny ducha, do wszelkiego szczerego i dobrotliwego człowieczeństwa. Wartości chrześcijańskie — wartości *dostojne*: dopiero my, duchy *wyzwolone*, przywróciliśmy to największe, jakie istnieje, przeciwieństwo w sferze wartości! — —

38.

Nie tłumię w tym miejscu westchnienia. Bywają dni, gdy nawiedza mnie uczucie czarniejsze od najczarniejszej melancholii — uczucie *pogardy dla człowieka*. By nie pozostawić wątpliwości, *czym gardzę, kim* gardzę: dzisiejszym człowiekiem, człowiekiem, z którym przyszło mi żyć, o fatalności, w tym samym czasie. Dzisiejszy człowiek — dusi mnie jego nieczysty oddech... Wobec przeszłości jestem, jak wszyscy poznający, nader tolerancyjny, to znaczy *wielkodusznie* powściągam samego siebie: przez tysiąclecia wszechświatowego domu wariatów, który niech się zwie „chrześcijaństwem”, „wiarą chrześcijańską”, „Kościołem chrześcijańskim”, posuwam się z posępną ostrożnością — staram się nie czynić ludzkości odpowiedzialną za jej choroby ducha. Moje uczucie raptownie się zmienia, wybucha, gdy tylko wchodzę w nowsze czasy, w *nasze* czasy. Nasze czasy są epoką *wiedzy*... Co niegdyś było tylko chore, dziś stało się nieprzyzwoite — nieprzyzwoitością jest być dzisiaj chrześcijaninem. / *tu zaczyna się moja odraza*. — Rozglądam się wokół siebie: ani jedno słowo nie pozostało już po tym, co niegdyś zwało się „prawdą”, nie potrafimy już nawet wytrzymać, gdy jakiś kapłan słowo „prawda” ma choćby tylko na ustach. Nawet człowiek o najskromniejszych aspiracjach do prawości *musi* dziś wiedzieć, że teolog, kapłan, papież każdym swym zdaniem nie tylko błędzą, ale i *kłamią* — że nie wolno im już kłamać z „niewinności”, z „niewiedzy”. Również kapłan, tak jak każdy inny, wie, że nie ma już „Boga”, „grzesznika”, „Odkupiciela” — że „wolna wola”, „etyczny porządek świata” są *kłamstwem*: — *nie* wiedzieć o tym nikomu już nie *pozwala* powaga, głębokie samoprzezwyciężenie ducha... Rozpoznano, czym są *wszystkie* kościelne pojęcia, mianowicie *najzłośliwszym*, jakie tylko może istnieć, fałszerstwem, które ma na celu *odwartościowanie* natury, wartości naturalnych; rozpoznano, czym jest sam kapłan, mianowicie *najniebezpieczniejszym* pasożytem, jadowitym pajakiem życia... Wiemy dziś, wie nasze *sumienie*, co w ogóle są warte, *do czego* służyły niesamowite wynalazki kapłanów i Kościoła, dzięki którym udało się osiągnąć ów stan samopohańbienia ludzkości, stan, którego widok może budzić odrazę — pojęcia, takie jak „zaświaty”, „Sąd Ostateczny”, „nieśmiertelność duszy”, sama „dusza”; są to narzędzia tortury, są to systemy okrucieństwa, dzięki którym kapłan stał się panem, pozostał panem... Każdy to wie: *a mimo to wszystko pozostaje po staremu*. Gdzież podziało się ostatnie uczucie przyzwoitości, szacunku dla siebie, skoro nawet nasi mężowie stanu, nader bezstronny gatunek ludzi i antychrześcijan czynu, jeszcze dziś nazywają siebie chrześcijanami i chodzą do komunii?... Młody książę, na czele swych regimentów], wspaniała jako wyraz egoizmu i wyniosłości ludu — lecz, *bez* jakiegokolwiek zawstydzenia, uznający się za chrześcijanina!... *Kogóż* neguje chrześcijaństwo? co zwie „światem”? To, że człowiek jest żołnierzem, że jest sędzią, że jest patriotą; że broni siebie; że dba o swój honor; że chce własnej korzyści; że jest *dumny*... Każda praktyka każdej chwili, każdy instynkt, każda ocena wartościująca, która staje się *czynem*, są dzisiaj antychrześcijańskie: jakimż *wyrodkiem fałszywości* musi być nowoczesny człowiek, jeśli mimo to *nie wstydy* się nazywać siebie jeszcze chrześcijaninem! —

Powracam do tematu, by opowiedzieć *autentyczną* historię chrześcijaństwa. — Już samo słowo „chrześcijaństwo” jest nieporozumieniem — w istocie rzeczy, był tylko jeden chrześcijanin, który umarł na krzyżu. „Ewangelia” umarto na krzyżu. Co odtąd zwie się „ewangelią”, jest już przeciwieństwem tego, czym *on* żył: „z tą nowiną”, *dysangelium*. Jest

to aż absurdalnym fałszem, gdy za odznakę chrześcijanina uważa się jakąś wiarę, na przykład wiarę w odkupienie przez Chrystusa: chrześcijański charakter ma tylko *praktyka* chrześcijańska, życie takie, jak życie tego, który umarł na krzyżu... Dziś życie takie jest jeszcze możliwe, a dla *pewnych* ludzi nawet konieczne: autentyczne, źródłowe chrześcijaństwo zawsze będzie możliwe... Me jakaś wiara, lecz czyn, przede wszystkim zaś me-czynienie wielu *rzeczy*, inne *bycie*... Stany świadomości, jakakolwiek wiara, uważanie czegoś za prawdę, na przykład, są przecież — wie to każdy psycholog — zupełnie obojętne i mają trzeciorzędne znaczenie w porównaniu z wartością instynktów: radykalniej rzecz ujmując, całe pojęcie przyczynowości duchowej jest fałszywym pojęciem. Redukować bycie chrześcijaninem, chrześcijańskość, do uważania czegoś za prawdę, do czysto świadomościowej fenomenalności to tyle, co negować chrześcijańskość. W *istocie rzeczy*, *nie było żadnych chrześcijan*. „Chrześcijanin”, to, co od dwu tysiącleci zwie się chrześcijaninem, jest niczym więcej jak psychologiczną dezinterpretacją samego siebie. Wystarczy się dokładniej przyjrzeć, by stwierdzić, że panują w nim, *mimo* wszelkiej „wiary”, *tylko* instynkty — i *to jakie instynkty*! — „Wiara” była zawsze, na przykład u Lutra, tylko przykrywką, pretekstem, *zasłoną*, za którą wiodły swą grę instynkty — roztropną *ślepotą* na panowanie *pewnych* instynktów... „Wiara” — już ją nazwałem właściwą roztropnością chrześcijańską — stale mówiono o „wierze”, stale *czyniono* tylko z instynktu... W świecie wyobrażeń chrześcijanina nie ma niczego, co choćby tylko dotykało rzeczywistości: natomiast w instynktownej nienawiści *do* wszelkiej rzeczywistości rozpoznaliśmy element napędowy, jedyny element napędowy, jaki leży u korzeni chrześcijaństwa. Co z tego wynika? Że także *in psychologicis* jest to błąd radykalny, że zatem określa on istotę, że jest *substancją*. Usunąć *jedno* pojęcie, wstawić w jego miejsce *jedyną* rzeczywistość — a całe chrześcijaństwo stoczy się w nicość! — Ten najdziwniejszy z wszystkich faktów, ta religia, nie tylko uwarunkowana przez błędy, ale i inwencyjna, ba, genialna *tylko* w szkodliwych, *tylko* w zatruwających życie i serce błędach, okazuje się, jeśli patrzeć na nią z wysokości, *widowiskiem dla bogów* — dla owych bóstw, które zarazem są filozofami i które spotkałem, na przykład, w sławnych dysputach na Naksos. W chwili, gdy opuszcza je (— i nas!) uczucie *odrazy*, stają się wdzięczne za widowisko odgrywane przez chrześcijanina: żałosna, mała gwiazda, która zwie się Ziemią, na boskie spojrzenie, na boskie zainteresowanie zasługuje może tylko z uwagi na *ten* kuriozalny przypadek... Nie lekceważmy bowiem chrześcijanina: chrześcijanin, fałszywy *aż do niewinności*, stoi znacznie wyżej od małpy — znana teoria pochodzenia człowieka staje się, w kontekście chrześcijanina, czystą kurtuazją...

Fatalny los ewangelii rozstrzygnął się ze śmiercią — zawisł na „krzyżu”... Dopiero śmierć, ta nieoczekiwana, obelżywa śmierć, dopiero krzyż, który, w ogólności, zachowywano tylko dla *canaille* — dopiero ten najprzerażliwszy paradoks postawił uczniów przed właściwą zagadką: „*kto to był? co to było?*” — Wstrząśnięte i do głębi dotknięte uczucie, podejrzenie, że taka śmierć mogłaby być *obaleniem* ich sprawy, straszliwy znak zapytania „dlaczego właśnie tak?” — aż nadto dobrze można pojąć ten stan. Wszystko *musiało* być tu koniecznością, wszystko *musiało* mieć sens, racjonalność, najwyższą racjonalność; miłość uczni[a] nie zna czegoś takiego jak przypadek. Dopiero teraz rozwarła się przepaść: „*kto go uśmiercił? kto był jego naturalnym wrogiem?*” — pytanie to wyskoczyło niczym błyskawica. Odpowiedź: Żydzi panujący, najwyższy stan ludu żydowskiego. Od tej chwili zaczęto odczuwać siebie jako buntowników, którzy występują *przeciwko* porządkowi, po czym samego Jezusa zinterpretowano jako kogoś, kto *zbuntował się przeciwko porządkowi*. Dotychczas w jego obrazie *brak* było tego wojowniczego rysu negacji słowem i czynem; co więcej, rys ten pozostawał w sprzeczności z jego wizerunkiem. Niewielka gmina wyraźnie *nie* rozumiała właśnie sedna, nie rozumiała wzoru, który zawierał ten rodzaj śmierci, nie rozumiała wolności od resentymentu, wyższości *nad* wszelkie uczucie resentymentu: — znak ten dowodzi, jak niewiele zeń w ogóle rozumiała! Swą śmiercią Jezus nie mógł chcieć niczego więcej, niż najintensywniej wypróbować, *poświadczyć* publicznie swą naukę... Jego uczniowie byli jednak dalecy od tego, by *wybaczyć* jego śmierć — co byłoby w najwyższym

sensie ewangeliczne; lub by się wręcz na taką samą śmierć *ofiarować* z łagodnym i miłym spokojem serca... Znów górę wzięła właśnie *zemsta*, owo najbardziej nieewangeliczne uczucie. Było niemożliwe, by całą sprawę zamknęła ta śmierć: potrzebowano „rewanżu”, „sądu” (— a cóż może być jeszcze bardziej nieewangelicznego niż „rewanż”, „kara”, „sądzenie”!) Jeszcze raz na pierwszy plan wysunęło się popularne oczekiwanie Mesjasza; zaplanowano moment historyczny: „Królestwo Boże” nadejdzie, by sądzić jego wrogów... Lecz tym sposobem wszystko zdezinterpretowano: „Królestwo Boże” jak akt końcowy, jako obietnica! Ewangelia była jednak właśnie istnieniem tego „królestwa”, spełnieniem się tego „królestwa”, *rzeczywistością* tego „królestwa”. Właśnie taka śmierć *była* tym „Królestwem Bożym”... Dopiero teraz wpisano w typ mistrza całą pogardę i gorzkie słowa wobec faryzeuszy i teologów — *czyniąc* zeń tym samym faryzeusza i teologa! Z drugiej strony, zdziaczała cześć, okazywana przez te rozchwiane dusze, nie utrzymała już owego ewangelicznego zrównania wszystkich jako dzieci Bożych, o którym uczył Jezus: ich zemsta na tym polegała, że przesadnie wywyższyli Jezusa, że oderwali go od siebie: zupełnie tak samo, jak niegdyś Żydzi z zemsty na swych wrogach oddzielili swego Boga od siebie i wynieśli go na wysokości. Jeden Bóg i jeden Syn Boży: dwa świadectwa resentymentu...

41.

— Odtąd pojawiło się absurdałne pytanie Jak Bóg *mógł* do tego dopuścić! Zaburzony rozum niewielkiej wspólnoty znalazł wręcz przeraźliwie absurdałną odpowiedź: Bóg oddał swego Syna dla odpuszczenia grzechów, jako *ofiara*. Za jednym razem skończono z ewangelią! *Ofiara za winy*, ofiara w swej najwstrętniejszej, najbardziej barbarzyńskiej formie, ofiara z *niewinnego* za grzechy winowajców! Jakież straszliwe pogaństwo! — Przecież sam Jezus zniósł pojęcie „winy” — zaprzeczył wszelkiej przepaści pomiędzy Bogiem i człowiekiem, ową jednością Boga jako człowieka *żył* jako. *swą* „radosną nowiną”... A *nie* jako przywilejem! — Odtąd, krok po kroku, w typ Odkupiciela są włączane: doktryna Sądu Ostatecznego i paruzji, doktryna śmierci jako śmierci ofiarnej, doktryna *zmartwychwstania*, która wypiera całe pojęcie „błogości”, całą i jedyną rzeczywistość ewangelii — na rzecz stanu, który ma nastąpić po śmierci!... Z ową rabinacką bezczelnością, która wyróżnia go pod każdym możliwym względem, Paweł wywiódł z tej koncepcji, z tej koncepcyjnej *prostyucji* taki oto wniosek logiczny: *Jeśli* Chrystus nie zmartwychwstał, to nasza wiara jest próżna”. — Ewangelia od razu stała się najnikczemniejszą z wszystkich niespełnialnych obietnic, *bezwstydną* doktryną nieśmiertelności osobowej... Sam Paweł nauczał o niej jeszcze jako o *nagrodzie*...

42.

Łatwo dostrzec, co skończyło się wraz ze śmiercią na krzyżu: nowy, na skroś źródłowy załazek buddyjskiego ruchu pokojowego, załazek faktycznego, a *nie* tylko obiecywanego *szczęścia na Ziemi*. Pozostaje to bowiem — już to podkreśliłem — podstawową różnicą między obiema religiami dekadencjnymi: buddyzm nie obiecuje, lecz dotrzymuje, chrześcijaństwo obiecuje wszystko, lecz *niczego* nie dotrzymuje. — Za „radosną nowiną” krok w krok szła *najgorsza* nowina: nowina Pawła. Paweł jest ucieleśnieniem typu, który stanowi przeciwieństwo „posłańca dobrej nowiny”, ucieleśnienie geniuszu nienawiści, wizji nienawiści, nieubłaganej logiki nienawiści. *Czegóż* ten dysangelista wszystkiego nie złożył nienawiści w ofierze! Przede wszystkim Odkupiciela: przybił go do *swojego* krzyża. Życie, przykład, nauka, śmierć, sens i prawo całej ewangelii — niczego już nie było, gdy ten nienawistny fałszerz pojął, co może tylko jemu być potrzebne. Bynajmniej *nie* rzeczywistości, *nie* prawdzie historycznej!... I jeszcze raz instynkt kapłański Żyda dopuścił się takiej samej, wielkiej zbrodni na historii — po prostu przekreślił dzień wczorajszy, dzień przedwczorajszy chrześcijaństwa, *wymyślił* sobie *dzieje pierwotnego chrześcijaństwa*. Co więcej: jeszcze raz zafałszował dzieje Izraela, aby jawiły się jako prehistoria, przygotowująca *jego* czyn: wszyscy prorocy mówili o *jego* „Odkupicielu”... W późniejszym czasie Kościół zafałszował nawet dzieje ludzkości, z których uczynił prehistorię chrześcijaństwa... Typ odkupiciela, nauka, praktyka, śmierć, sens śmierci, nawet byt

pośmiertny — nic nie pozostało nienaruszone, nic nie pozostało choćby tylko podobne do rzeczywistości. Paweł po prostu przeniósł punkt ciężkości całego tego istnienia *poza* istnienie — w *kłamstwo* o „zmarłychwstałym” Jezusie. W gruncie rzeczy, życie Odkupiciela nie było mu w ogóle potrzebne — ważna była dlań tylko śmierć na krzyżu i coś więcej jeszcze... Uważać, że Paweł, którego ojczyzną była główna siedziba stoickiego oświecenia, jest uczciwy, gdy z halucynacji sporządza sobie *dowód*, że Odkupiciel *jeszcze* żyje, albo choćby tylko dawać wiarę jego opowieści, że miał tę halucynację, byłoby prawdziwą *niaiserie* ze strony psychologa: Paweł chciał celu, *przeto* chciał też środków... Idioci, między których rzucił swą naukę, uwierzyli w to, w co on sam nie wierzył. — Jego potrzebą była *władza*; w osobie Pawła kapłan jeszcze raz chciał osiągnąć władzę — Paweł mógł posługiwać się tylko pojęciami, doktrynami, symbolami, którymi tyranizuje się masy i tworzy stado. — Co w późniejszym czasie Mahomet zapożyczył od chrześcijaństwa? Jedynie wynalazek Pawła, jego instrument kapłańskiej tyranii, tworzenia stada, wiarę w nieśmiertelność — *to* *znaczy* naukę o „Sądzie”...

43.

Jeśli się umieszcza punkt ciężkości życia *nie* gdzieś w życiu, lecz w „zaświatach” — w *nicości* — to zabiera się życiu w ogóle punkt ciężkości. Wielkie kłamstwo o nieśmiertelności osobowej niszczy wszelki rozum, wszelką naturę w instynkcie — wszystko, co w sferze instynktów ma dobroczynne działanie, co wspiera życie, co stanowi porękę przyszłości, budzi odtąd nieufność. Żyć *tak*, by życie nie miało już żadnego *sensu* — *to* staje się teraz „sensem” życia... Po cóż jeszcze zmysł społeczny, po cóż wdzięczność dla pochodzenia i przodków, po cóż współpracować, ufać, wspierać i mieć na oku jakiegokolwiek dobro wspólne?... Tyle „pokus”, tyle okazji, by zejść z „właściwej drogi” — *Jednego* *potrzeba*... By każdy, jako „nieśmiertelna dusza”, był równy rangą każdemu innemu, by pośród ogółu istot sprawa „zbawienia” każdej jednostki mogła aspirować do wiecznego znaczenia, by mali świętoszkowie i półgłówki mogli sobie roić, że ze względu na nich stale są *łamane* prawa natury — takiego spotęgowania wszelkiego samolubstwa do nieskończonych, do *bezwstydnych* rozmiarów nie sposób napiętnować z dostateczną pogardą. A jednak właśnie *temu*, pożałowania godnemu schlebaniu osobistej próżności człowieka zawdzięcza chrześcijaństwo swój *tryumf* — przyciągając do siebie wszystkich nieudatnych, buntowniczo usposobionych, pokrzywdzonych, wszystkie wy-rzutki i odpadki ludzkości. „Zbawienie duszy” — w naszym języku: „świat kręci się wokół *mnie*”... Trucizna doktryny o *równych* prawach dla wszystkich — chrześcijaństwo najgruntowniej ją rozsiewało; chrześcijaństwo każdemu poczuciu respektu i dystansu między ludźmi, to *znaczy przesłance* wszelkiego podwyższenia, wszelkiego wzrostu kultury, wydało śmiertelną wojnę, prowadzoną z najtajniejszych zakątków lichych instynktów — z resentymentu mas wykuło sobie swój *główny oręż* przeciwko *nam*, przeciwko wszystkiemu, co na Ziemi dostojne, radosne, wielkoduszne, przeciwko naszemu szczęściu na Ziemi... „Nieśmiertelność”, przyznana każdemu Piotrowi i Pawłowi, była do tej pory największym, najbardziej złośliwym zamachem na *dostojne* człowieczeństwo. — Nie lekceważmy *również* fatalności, która z chrześcijaństwa zakradła się do polityki! Dziś nikt nie ma już odwagi, by żądać dla siebie specjalnych praw, praw do panowania, do respektu dla siebie i dla sobie równych — odwagi, by żądać *patosu dystansu*... Nasza polityka jest chora na ten brak odwagi! — Arystokratyczne usposobienie zostało najskryciej podkopane przez kłamstwo o równości dusz; a jeśli wiara w „prymat większości” rozpętuje, i *będzie rozpętywać*, rewolucje, to nie miejcie wątpliwości, że każda rewolucja przekłada na krew i zbrodnię właśnie *chrześcijańskie* sądy wartościujące! Chrześcijaństwo jest buntem wszystkiego, co pełza po ziemi, przeciw wszystkiemu; co *wysokie*: ewangelia „niskich” *czyni* niskim

47.

— Nie to *nas* dzieli, że nie odnajdujemy Boga, ani w dziejach, ani w naturze, ani poza naturą, lecz to, że tworu, który czczono jako Boga, nie odbieramy jako tworu „boskiego”, lecz jako twór pożałowania godny, jako twór absurdalny, jako twór szkodliwy, nie tylko jako błąd,

lecz także jako *zbrodnię na życiu*... Przeczymy istnieniu Boga jako Boga... Gdyby nam *dowodzono* istnienia tego Boga chrześcijan, to jeszcze mniej potrafilibyśmy węgierzyć. — W formule: „*deus, qualem Paulus creavit, dei negatio*”. — Religia, taka jak chrześcijaństwo, która w żadnym punkcie nie styka się z rzeczywistością, która natychmiast chyli się ku upadkowi, gdy rzeczywistość choćby w jednym punkcie dochodzi do swych praw, musi być, jakże by inaczej, śmiertelnym wrogiem „mądrości świata”, to znaczy *nauki* — zaaprobuje wszystkie środki, dzięki którym można zatruć, oczernić, *zniesławić* dyscyplinę ducha, czystość i ścisłość w sprawach sumienia ducha, dostojną śmiałość i wolność ducha. „Wiara” jako imperatyw stanowi *veto* wobec wszelkiej nauki

— *in praxi* kłamstwo za wszelką cenę... Paweł *pojął*, że kłamstwo

— że „wiara” są niezbędne; później Kościół *pojął* znów Pawła. — A przy tym ów „Bóg”, którego wynalazł sobie Paweł, Bóg, który „mądrość świata” (w węższym znaczeniu: filologię i medycynę, dwie wielkie przeciwniczki wszelkiego zabobonu) „czyni hańbą”, tak naprawdę jest niczym więcej jak stanowczą *decyzją* samego Pawła: nazywać „Bogiem” swą własną wolę, *thora* — to prażydowski rys. Paweł *chce* pohańbić „mądrość świata”: jego wrogami są *dobrzy* filologowie i lekarze z aleksandryjskim wykształceniem — z nimi prowadzi wojnę. W rzeczy samej, nie sposób być filologiem czy lekarzem, nie będąc równocześnie *antychrześcijaninem*. Oko filologa sięga bowiem *poza* „święte księgi”, oko lekarza sięga *poza* fizjologiczną zmarniałość typowego chrześcijanina. Lekarz mówi „nieuleczalne”, filolog mówi „szalbierstwo”...

48.

— Czy, właściwie, zrozumiano sławną historię, która rozpoczyna Biblię — historię o piekielnym lęku Boga przed *nauką*¹?... Nie zrozumiano. Ta kapłańska księga par *excellence* zaczyna się, jakże by inaczej, od wielkiej trudności wewnętrznej kapłana: ma *on* tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo, *zatem* „Bóg” ma tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo. —

Stary Bóg, który cały jest „duchem”, cały arc[y]kapłanem, cały doskonałością, przechadza się po swym ogrodzie: tyle tylko, że się nudzi. Nawet u Bogów walka z nudą jest daremna. Cóż robi? Wymyśla człowieka — człowiek jest zajmujący. Lecz oto patrzcie, także człowiek się nudzi. Litość Boga nad tą jedyną niedogodnością, jaka cechuje wszelki raj, nie zna granic: zaraz stworzył on jeszcze inne zwierzęta. *Pierwszy* błąd Boga: człowiek nie uznał zwierząt za zajmujące — zapanował nad nimi, nie chciał być „zwierzęciem”. Przeto stworzył Bóg niewiastę. I faktycznie, nastąpił koniec nudy — ale i czegoś innego jeszcze! Niewiasta była *drugim* błędem Boga. — „Niewiasta jest wedle swej istoty węzem, Heva” — wie to każdy kapłan; „od niewiasty pochodzi *wszelkie* nieszczęście na świecie” — również to wie każdy kapłan. „Zatem od niej pochodzi także *nauka*”... Dopiero dzięki niewieście nauczył się człowiek kosztować z drzewa poznania. — Co się stało? Starego Boga przejął piekielny lęk. Sam człowiek stał się jego *największym* błędem, Bóg stworzył sobie rywala, nauka czyni człowieka *równym Bogu* — na kapłanów i bogów przychodzi kres, gdy człowiek staje się istotą naukową! — *Morał*: nauka jest czymś, co samo w sobie zakazane — tylko ona jest zakazana. Nauka jest *pierwszym* grzechem, załączkiem wszystkich grzechów, grzechem *pierworodnym*. *Tylko taki jest morał*. — „Masz *nie* poznawać” — z tego cała reszta. Piekielny lęk Boga nie przeszkodził mu być roztroptym. Jak *bronić* się przed nauką? pytanie to na długi czas stało się jego głównym problemem. Odpowiedź: wypędzić człowieka z raju! Szczęście, bezczynność nasuwają myśli — wszystkie myśli są złymi myślami... Człowiek nie *powinien* myśleć. — I „kapłan sam w sobie” wynajduje niedolę, śmierć, ciężę jako zagrożenie dla życia, wszelkiego rodzaju nędzę, starość, mordęgę, a przede wszystkim *chorobę* — wszystko środki w walce z nauką! Niedola nie *pozwala* człowiekowi na myślenie... A mimo to! okropność! Dzieło poznania piętrzy się, szturmując niebo, przynosząc zmierzch bogów — co czynić! — Stary Bóg wymyśla *wojnę*, dzieli ludy, sprawia, że ludzie się wzajemnie unicestwiają (kapłani zawsze potrzebowali wojny...) Wojna — wielki wichrzyciel nauki, między innymi! — Niewiarygodne! Poznanie, *emancypacja od kapłanów*,

rośnie nawet mimo wojen. — Staremu Bogu przychodzi ostatnia decyzja: „człowiek stał się istotą naukową — *nic nie pomoże, trzeba go utopić?*...

49.

— Zrozumieliście mnie. Początek Biblii zawiera *cala* psychologię kapłana. — Kapłan zna tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo: naukę — zdrowe pojęcie przyczyny i skutku. Nauka zaś, generalnie biorąc, rozkwita tylko w szczęśliwych warunkach — trzeba mieć *nadmiar* czasu, trzeba mieć *nadmiar* ducha, by móc „poznać”... „Zatem trzeba człowieka unieszczęśliwić” — taka była zawsze logika kapłana. — Łatwo już zgadnąć, co, dzięki tej logice dopiero, przyszło na świat: — „grzech”... Pojęcie winy i kary, cały „etyczny porządek świata” został wynaleziony *przeciwko* nauce — przeciwko uwolnieniu się człowieka od kapłana. Człowiek *nie* powinien patrzeć poza siebie, powinien patrzeć w siebie; *nie* powinien, jako uczący się, roztropnie i przezornie wglądać w rzeczy, w ogóle *nie* powinien wglądać: powinien *cierpieć*... Powinien tak cierpieć, by cały czas potrzebował kapłana. — Precz z lekarzami! Człowiek *potrzebuje* zbawiciela. Pojęcie winy i kary, włącznie z doktryną „łaski”, „odkupienia”, „przebaczenia” — wszystko *kłamstwa* bez jakiegokolwiek realności psychologicznej — wymyślone, by zniszczyć w człowieku *zmyśl przyczynowości*: są one zamachem na pojęcie przyczyny i skutku! — Zamachem dokonanym *nie* pięścią, *nie* nożem, *nie* uczciwością w nienawiści i miłości! Lecz zamachem, którego źródło stanowią najtchórzliwsze, najprzebieglejsze, najniższe instynkty! Zamachem *kapłańskimi* Zamachem *pasożytniczymi* Wampiryzmem bladych, podziemnych krwiopijców!... Gdy naturalnych następstw jakiegoś czynu *nie* uważa się już za „naturalne”, lecz za spowodowane przez pojęciowe upiory zabobonu, przez „Boga”, przez „duchy”, przez „dusze”, za czysto „moralne” konsekwencje, za nagrodę, karę, wskazówkę, za środek wychowawczy, to przesłanka poznania uległa już zniszczeniu — *to popełniono największą zbrodnię na ludzkości*. — Powiedzmy jeszcze raz: grzech, tę formę samo-pohańbienia człowieka *par excellence*, wynaleziono, by uniemożliwić naukę, kulturę, wszelkie podwyższanie człowieka i dostojność człowieka; kapłan *panuje* dzięki wynalazkowi grzechu. —

50.

Nie mogę tu pominąć psychologii „wiary”, „wierzących”, co będzie z korzyścią, jakże by inaczej, właśnie dla samych „wierzących”. Jeśli dziś *nie* brak jeszcze takich, którzy *nie* wiedzą, dlaczego bycie „wierzącym” jest *nieprzyzwoistością* — *bądź* oznaką dekadencji, złamanej woli życia — to jutro będą już wiedzieć. Mój głos dosięgnie również tych, co mają przytępiony słuch. — Jeśli się *nie* przesłyszałem, to wśród chrześcijan zdaje się istnieć pewnego rodzaju kryterium prawdy, które bywa nazywane „dowodem z siły”. „Wiara obdarza błogością: *zatem* jest prawdziwa”. — Zapewne, można by tu, po pierwsze, podnieść zarzut, iż właśnie obdarzanie błogością *nie* jest dowiedzione, lecz tylko *obiecane*: błogość związana z „wiarą” jako swym warunkiem — człowiek *ma* uzyskać stan błogości, *ponieważ* wierzy... Czym jednak dowieść, że faktycznie nastąpi stan, który kapłan obiecuje wierzącemu w „zaświatach”, niedostępnych dla jakiegokolwiek kontroli? — Rzekomy „dowód z siły” jest więc, w gruncie rzeczy, znów tylko wiarą, że *nie* zabraknie skutku, którego człowiek obiecuje sobie po wierze. W formule: „wierzę, że wiara obdarza błogością; — *zatem* jest prawdziwa”. — Tym sposobem jesteśmy jednak już u kresu. Jako kryterium prawdy, owo „zatem” byłoby absurdem. — Ale założmy, *nie* bez pewnej pobłażliwości, że obdarzanie błogością przez wiarę jest dowiedzione — a *nie* tylko pożądane, *nie* tylko obiecywane przez cokolwiek podejrzane usta kapłana: czy błogość — albo też, mówiąc bardziej technicznym językiem: *rozkosz* — mogłaby być dowodem prawdy? W tak niewielkim stopniu, że stanowiłaby nieledwie kontrdowód, a w każdym razie budziłaby najwyższe podejrzenie wobec „prawdy”, skoro doznania rozkoszy mają współdecydować w kwestii „co jest prawdziwe”? Dowód z rozkoszy jest dowodem *na* rozkosz — niczym więcej; skąd, u licha, pewność, że właśnie *prawdziwe* sądy sprawiają większe zadowolenie niż fałszywe i że z konieczności pociągają za sobą, zgodnie z harmonią w przód ustanowioną, przyjemne uczucia? — Doświadczenie wszystkich ścisłych, wszystkich głębokich duchów poucza o

czymś *przeciwym*. Człowiek musiał wymóc na sobie każdy krok ku prawdzie, musiał poświęcić w zamian niemal wszystko, czego trzyma się serce, czego trzyma się nasza miłość, nasze zaufanie do życia. Trzeba na to wielkości duszy: służba dla prawdy jest najcięższą służbą. — Co to znaczy: być *prawym* w sprawach ducha? To znaczy, że człowiek jest surowy wobec swego serca, że gardzi „pięknymi uczuciami”, że każde „Tak” i każde „Nie” czyni sprawą sumienia! — — — Wiara obdarza błogością: *zatem* kłamie...

51.

Wiara obdarza niekiedy błogością, błogość nie czyni jeszcze żadnej *idee fixe prawdziwą* ideą, wiara nie przenosi gór, z pewnością natomiast *wznosi* góry tam, gdzie ich nie było: krótka przechadzka po domu wariatów pozwala zdobyć dostateczną co do tego jasność. Lecz *nie* kapłanowi: instynktownie przeczy on bowiem, że choroba jest chorobą, że dom wariatów jest domem wariatów. Chrześcijaństwo *potrzebuje* choroby, mniej więcej tak, jak Grecy potrzebowali nadmiaru zdrowia — *wywoływanie* choroby jest ukrytym zamiarem całego systemu procedur leczniczych Kościoła. A sam Kościół — czy nie jest katolickim domem wariatów jako ostatecznym ideałem? Cała Ziemia jako dom wariatów? — Człowiek religijny, taki, jakim *chce* go mieć Kościół, jest typowym dekadentem; moment, w którym kryzys religijny opanowuje lud, charakteryzują zawsze epidemie nerwowe; „świat wewnętrzny” człowieka religijnego do złudzenia przypomina „świat wewnętrzny” ludzi rozdrażnionych i wyczerpanych; „najwyższe” stany, które chrześcijaństwo ukazuje ludzkości jako wartość nad wartościami, są formami epileptoidalnymi — Kościół ogłaszał świętymi *in majorem dei honorem* tylko obłąkanych *bądź* wielkich oszustów... Pozwoliłem sobie kiedyś określić cały chrześcijański trening pokuty i odkupienia (który w dzisiejszych czasach najlepiej można studiować w Anglii) jako metodycznie generowaną *folie circulaire* na przygotowanej już do tego, to znaczy gruntownie chorej glebie. Nikt nie może swobodnie postanowić, że zostanie chrześcijaninem: nie można się „nawrócić” na chrześcijaństwo — trzeba być na to dostatecznie chorym... My inni, którzy mamy *odwagę*, by cieszyć się zdrowiem, a także odwagę, by gardzić, tak jak *my* gardzić śmiemy religią, która uczyła fałszywie rozumieć ciało! która nie chce się wyzbyć zabobonnej wiary w duszę! która niedostateczne odżywianie się ma za „zasługę”! która zwalcza zdrowie jak swego rodzaju wroga, diabła, pokusę! która wmówiła sobie, że w ścierwie ciała można nosić „doskonałą duszę”, i musiała sobie w tym celu sporządzić nowe pojęcie „doskonałości”, bładą, chorowitą, idiotycznie marzycielską istotą, tak zwaną „świętość” — świętość, która sama jest tylko szeregiem przejawów zabiedzonego, wyczerpanego nerwowo, nieuleczalnie zepsutego ciała!... Ruch chrześcijański, jako ruch europejski, jest od samego początku zbiorowym ruchem wszelkiego rodzaju wyrzutków i odpadków: — dzięki chrześcijaństwu chcą one osiągnąć władzę. Chrześcijaństwo *nie* jest wyrazem schyłku jakiejś rasy, lecz agregatem zewsząd się tłoczących i wzajemnie się poszukujących form dekadencji. Czynnikiem, który umożliwił powstanie chrześcijaństwa, *nie* jest, jak się zwykło uważać, zepsucie samego antyku, *dostojnego* antyku: nie sposób dostatecznie ostro sprzeciwić się uczoneму idiotyzmowi, który jeszcze dzisiaj coś takiego utrzymuje. W czasach, gdy chore, zepsute warstwy czandaków przechodziły w całym imperium na chrześcijaństwo, istniał właśnie *typ przeciwstawny*, dostojność, w jej najpiękniejszej i najdojrzałej postaci. Panem stała się wielka liczba; zwyciężył demokratyzm instynktów chrześcijańskich... Chrześcijaństwo nie było religią narodową, nie było uwarunkowane rasowo — zwróciło się ono ku wszelkiego rodzaju wydziedziczonym, wszędzie miało swych sprzymierzeńców. Chrześcijaństwo zwróciło urażę, instynkt ludzi z gruntu chorych, *przeciwko* zdrowym, *przeciwko* zdrowiu. Wszystko, co udatne, dumne, butne, zwłaszcza piękno, kłuło je w oczy i uszy. Jeszcze raz przypominam nieocenione słowa Pawła. „*Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, upodobał sobie w tym, co niemocne, aby mocnych poniżyć; i to, co nie jest szlachetnie urodzone według świata i wzgardzone*”: oto formuła, *in hoc signo* tryumfowała dekadencja. — *Bóg na krzyżu*

— czy nadal nikt nie rozumie straszliwej idei, która kryje się za tym symbolem? — Wszystko, co cierpi, wszystko, co wisi na krzyżu, jest boskie... My wszyscy wisimy na krzyżu, zatem *my* wszyscy jesteśmy boscy... Jedynie *my* jesteśmy boscy... Chrześcijaństwo było zwycięstwem, przyniosło zagładę bardziej *dostojnemu* usposobieniu — chrześcijaństwo było do tej pory największym nieszczęściem ludzkości. — —

52.

Chrześcijaństwo pozostaje w konflikcie również ze wszystkim, co *duchowo* udatne — jedynie chorego rozumu *może* ono używać jako rozumu chrześcijańskiego, bierze stronę wszelkiego idiotyzmu, wyklina „ducha”, wyklina *superbia* zdrowego ducha. Ponieważ choroba należy do istoty chrześcijaństwa, przeto typowy stan chrześcijański, „wiarą”, również *musi* być formą choroby, a wszystkie proste, prawe, naukowe drogi do poznania *muszą* zostać odrzucone przez Kościół jako drogi *zakazane*. Już wątplenie jest grzechem... Zupełny brak psychologicznej czystości u kapłana — zdradzający się spojrzeniem — jest *następstwem* dekadencji — wystarczy poobserwować historyczne niewiasty, a także dzieci o rachitycznych predyspozycjach, by zauważyć, z jaką regularnością wyrazem dekadencji jest instynktowna fałszywość, rozkosz czerpana z kłamstwa, popełnianego dla samego kłamania, niezdolność do spoglądania prosto w oczy i do prostych kroków. „Wierzyć”, znaczy: nie *chcieć* wiedzieć, co jest prawdą. Nabożniś, kapłan obojga płci, jest fałszywy, *ponieważ* jest chory: jego *instynkt pragnie*, by prawda nie doszła w żadnym punkcie do głosu. *Dobre* jest to, co wywołuje chorobę; *źle* jest to, co pochodzi z pełni, z obfitości, z mocy: tak odczuwa wierzący. *Zniewolenie kłamstwem* — po tym rozpoznają każdego predestynowanego teologa. — Inną oznaką teologa jest jego niezdolność do uprawiania *filologii*. Przez filologię należy tu rozumieć, w nader ogólnym sensie, sztukę dobrego odczytywania, umiejętność wczytywania się w fakty, *bez* fałszowania ich interpretacją, *bez* utraty — w pragnieniu zrozumienia — ostrożności, cierpliwości, subtelności. Filologia jako *ephexis* w interpretacji: obojętne, czy będzie chodzić o książki, czy o gazetowe nowiny, czy o losy, czy o fakty meteorologiczne — nie mówiąc już o „zbawieniu duszy”... Sposób, w jaki teolog, obojętne gdzie, w Berlinie czy w Rzymie, wykląda, na przykład, w wyższym świetle Psalmów Dawida „słowo Pisma” albo jakieś przeżycie, jakieś zwycięstwo ojczystych wojsk, jest zawsze tak *śmiały*, że filolog, który na to patrzy, zaczyna biegać po ścianach. I cóż ma zrobić, gdy nabożnisie i inne szwabskie krowy nędzną codzienność i izdebny zaduch swego istnienia przerabiają „palcem Bożym” na cud „łaski”, „opatrności”, „doświadczeń zbawienia”! Najsłabszy nakład ducha, by nie rzec: *przyzwoitości*, musiałby przekonać tych interpretatorów, że takie nadużywanie boskiej biegłości w palcach jest zupełnie niegodną dziecinadą. Dla człowieka choćby tylko w niewielkim stopniu pobożnego Bóg, który na czas leczy z kataru albo który każe nam wsiąść do powozu właśnie w chwili, gdy zrywa się ulewa, winien być tak absurdalnym Bogiem, że trzeba by go było usunąć, nawet gdyby rzeczywiście istniał. Bóg jako posługiwacz, jako listonosz, jako ten, który pilnuje kalendarza — w istocie *rzeczy* słowo, które nazywa najgłupszy rodzaj wszelkiego przypadku... „Opatrność boska”, w którą dzisiaj w „wykształconych Niemczech” wierzy jeszcze mniej więcej co trzecia osoba, byłaby takim zarzutem przeciwko Bogu, że mocniejszy trudno by sobie było pomyśleć. A w każdym razie, jest on zarzutem przeciwko Niemcom...

53.

— Teza, że *męczennicy* dowodzą prawdziwości jakiejś sprawy, jest tak mało prawdziwa, że chciałbym zaprzeczyć, jakoby jakikolwiek męczennik miał kiedykolwiek coś wspólnego z prawdą. Już ton, z jakim męczennik wciska światu do głowy, że uważa coś za prawdę, wyraża tak niski stopień intelektualnej prawości, taką *tępotę* w kwestii prawdy, że nie ma potrzeby obalać jego słów. Prawdą nie jest coś, co jeden by miał, a inny nie miał: tak myśleć o prawdzie mogą, co najwyżej, chłopcy czy chłopcy apostołowie w rodzaju Lutra. Można być pewnym, że wraz ze wzrostem prawości w sprawach ducha coraz bardziej będzie

rosnąć skromność, *umiarkowanie* w tej kwestii. Posiadać *wiedzę* w pięciu kwestiach, a wszelką *pozostałą* odsunąć delikatną ręką... „Prawda”, sposób, w jaki słowo to rozumie każdy prorok, każdy sekciarz, każdy wolnomysliciel, każdy socjalista, każdy członek Kościoła, doskonale dowodzi, że nawet nie zapoczątkowano jeszcze owej dyscypliny ducha i samo-przezwyćżenia, która jest niezbędną, by można było *znaleźć* choćby jakąś maleńką, choćby najmniejszą prawdę. — Śmierć męczeńska, mówiąc mimochodem, była zawsze wielkim nieszczęściem w dziejach: bo *uwodziła*... Wniosek wszelkich idiotów, w tym kobiet i ludu, że sprawa, za którą ktoś idzie na śmierć (bądź która, jak wczesne chrześcijaństwo, rodzi epidemie pragnienia śmierci), musi mieć jakieś znaczenie — wniosek ten stał się niewymownym hamulcem dla eksperymentu, dla ducha eksperymentu i ostrożności. Męczennicy *szkodzili* prawdzie... Również i dziś jeszcze wystarcza tylko surowość prześladowań, aby nawet najobojętniejsze w sobie samym sekciarstwo otrzymało *czcigodną* nazwę. Jakże to? czy wartość jakiejś sprawy zmienia się dlatego, że ktoś oddaje za nią swe życie?

— Błąd, który staje się błędem czcigodnym, jest błędem, który ma większą siłę uwodzenia: czy sądzicie, panowie teologowie, że damy wam okazję, byście produkowali męczenników, ginących za wasze kłamstwa? — By obalić jakąś sprawę, wystarczy ją z szacunkiem zamrozić — w podobny sposób obala się również słowa teologów... Właśnie to było u wszystkich prześladowców głupotą na skalę dziejów powszechnych, że sprawie przeciwnika nadawali pozór czcigodności — że dawali jej w darze czar męczeństwa... Kobieta jeszcze dziś klęczy na kolanach przed błędem, ponieważ powiedziano jej, że ktoś umarł zań na krzyżu. *Czy krzyż jest jakimś argumentem*?

— — O wszystkich tych sprawach tylko ktoś jeden powiedział słowo, którego potrzebowano od tysiącleci — Zaratustra.

Krwawe znaki wypisywali na drodze, którą szli, a ich głupota uczyła, że prawdy dowodzi się krwią. Lecz krew jest najgorszym świadkiem prawdy; krew zatruwa nawet najczystsza nauka, czyniąc z niej szaleństwo i nienawiść serca.

A gdyby ktoś dla swej nauki przeszedł przez ogień — czegoż to dowodzi? Zaprawdę, więcej to waży, gdy własna nauka rodzi się z własnego żaru.

Nie dajmy się wprowadzić w błąd: wielkie duchy są sceptykami. Zaratustra jest sceptykiem. Potęgi, *wolności*, płynącej z siły i nadsiły ducha, *dowodzą* sceptycyzmem. Ludzie przekonani nie wchodzą w ogóle pod uwagę, gdy rozpatruje się wszelkie zasadnicze problemy wartości i niewartości. Przekonania to więzienie. Nie patrzy toto dostatecznie daleko, nie patrzy toto *poniżej* siebie: aby zaś móc zabierać głos na temat wartości i niewartości, musi człowiek widzieć pięćset przekonań *poniżej* siebie — *poza* sobą... Duch, który chce czegoś wielkiego, który chce także środków do tego, z konieczności będzie sceptykiem. Wolność od wszelkiego rodzaju przekonań *należy* do potęgi, która *potrafi* spoglądać wolnym okiem. Wielka pasja, podstawa i moc jego bytu, jeszcze bardziej oświecona, jeszcze bardziej despotyczna niż on sam, najmuje na służbę cały jego intelekt; znosi wątpliwości; daje mu odwagę sięgania nawet po nieświęte środki; niekiedy *pozwała* mu na przekonania. Przekonanie jako *środek*: niejedną rzecz osiąga się tylko za pośrednictwem przekonań. Wielka pasja czyni użytek z przekonań, spożytkowuje przekonania, nie ulega im — czuje się suwerenna. I odwrotnie: potrzeba wiary, potrzeba bezwarunkowego „Tak” i „Nie”, potrzeba carlyleizmu — wybaczone słowo — jest potrzebą ludzi *słabych*. Człowiek wiary, wszelkiego rodzaju „wierzący”, jest, z konieczności, człowiekiem zależnym — takim, który nie potrafi wyznaczyć samego *siebie* celem, który nie potrafi sam ze siebie w ogóle wyznaczać celów. „Wierzący” nie należy do *siebie*, może być tylko środkiem, musi być *spożytkowywany*, potrzebuje kogoś, kto go spożytkowuje. Jego instynkt darzy moralność wyzbywania się siebie najwyższą czią: skłania go do niej wszystko, jego roztropność, jego doświadczenie, jego próżność. Wszelka wiara jest wyrazem wyzbycia się samego siebie, wyobcowania się od samego siebie... Jeśli zważyć, jak nieodzowny jest przeważającej większości ludzi regulamin, który ich z zewnątrz wiąże i utwierdza, jak presja, a w wyższym znaczeniu *niewolnictwo*, jest jedynym i ostatecznym warunkiem rozkwitu człowieka o słabszej woli, zwłaszcza niewiasty, to

łatwo będzie zrozumieć także rolę przekonań, „wiary”. Dla człowieka przekonanego przekonanie jest kręgosłupem. Wielu rzeczy *nie* widzieć, w żadnej kwestii nie zajmować nieuprzedzonego stanowiska, być na skroś stronnicy, mieć ścisły i konieczny punkt widzenia w odniesieniu do wszystkich wartości — jedynie pod tym warunkiem może w ogóle istnieć taki typ człowieka. Tym samym jest on jednak przeciwieństwem, *antagonistą* prawdomówności — prawdy... Wierzący nie może w ogóle mieć sumienia w kwestii „prawdy” i „nieprawdy”: prawość w *tej* kwestii byłaby natychmiast jego zagładą. W następstwie patologicznych uwarunkowań swego punktu widzenia człowiek przekonany staje się fanatykiem — Savonarola, Luter, Rousseau, Robespierre, Saint-Simon — typem stanowiącym przeciwieństwo potężnego, *wyzwolonego* ducha. Wielka poza tych *chorych* duchów, tych pojęciowych epileptyków, oddziałuje jednak na wielkie masy — fanatycy są malowniczy, ludzkość woli patrzeć na gesty niż słuchać *argumentów*...

55.

— Krok dalej w psychologii przekonań, „wiary”. Już od dawna rozważam pytanie, czy przekonania nie są bardziej niebezpiecznym wrogiem prawdy niż kłamstwa (*Ludzkie, nazbyt ludzkie*, s. 331). Tym razem chciałbym zadać decydujące pytanie: czy pomiędzy kłamstwem i przekonaniem istnieje w ogóle jakieś przeciwieństwo? — Wierzy w to cały świat; lecz w coś nie wierzy świat! — Każde przekonanie ma swą historię, swe praformy, swe próby i omyłki: przekonanie *staje się* przekonaniem, najpierw przez długi czas nim w ogóle nie jest, a jeszcze dłużej jest nim w *niewielkiej* mierze. Jakże to? czy do tych embrionalnych form przekonania nie mogłoby należeć także kłamstwo? — Czasami potrzebna jest tylko zmiana osób: u syna przekonaniem staje się to, co u ojca było jeszcze kłamstwem. — *Nie* chcieć widzieć czegoś, co się widzi, nie chcieć widzieć czegoś *takim*, jakim się je widzi: oto co nazywam kłamstwem; nie ma znaczenia, czy kłamstwo popełnia się przy świadkach, czy bez świadków. Najpospolitszym kłamstwem jest kłamstwo, którym człowiek okłamuje samego siebie; okłamywanie innych jest, relatywnie, przypadkiem wyjątkowym. — *Nie* chcieć widzieć czegoś, co się widzi, nie chcieć widzieć czegoś *takim*, jakim się je widzi: nastawienie to jest nieledwie pierwszym warunkiem dla wszystkich, którzy, w jakimkolwiek znaczeniu, są *stroną*: człowiek stronnicy musi się stać kłamcą. Niemiecka historiografia, na przykład, jest przekonana, że Rzym był despotyzmem, że Germanie wnieśli ducha wolności w ludzki świat: jakaż jest różnica pomiędzy tymi przekonaniem a jakimkolwiek kłamstwem? Czyż można się jeszcze dziwić, że wszystkie stronnictwa, w tym także niemieccy historycy, instynktownie odwołują się do wielkich słów moralności — że moralność nieledwie dzięki temu jeszcze *trwa*, iż w każdej chwili potrzebuje jej wszelkiego rodzaju człowiek stronnicy? — „Oto *nasze* przekonanie: wyznajemy je przed całym światem, żyjemy dla niego i umrzemy za nie — czapki z głów przed każdym, kto ma przekonania!” — tego rodzaju wypowiedzi słyszałem nawet z ust antysemitów. Ależ odwrotnie, moi panowie! Antysemita w żadnym razie nie staje się dzięki temu przyzwoitszy, że kłamie z zasady... Kapłani, którzy są w takich sprawach subtelniejsi i bardzo dobrze rozumieją zarzut, który tkwi w pojęciu przekonania, to znaczy zasadniczego, *ponieważ* służącego określönemu celowi, zakłamania, odziedziczyli po Żydach roztropność, która każe im w to miejsce wpisywać pojęcia „Bóg”, „wola Boża”, „objawienie Boże”. Tą samą drogą szedł również Kant ze swym imperatywem kategorycznym: Kantowski rozum stał się tu rozumem *praktycznym*. — Istnieją pytania, w przypadku których decyzja o prawdzie i nieprawdzie *me* jest rzeczą człowieka; wszystkie naczelné pytania, wszystkie naczelné problemy wartości leżą poza sferą ludzkiego rozumu... Pojmowanie granic rozumu — *to* dopiero jest naprawdę filozofia... Po co Bóg dał człowiekowi objawienie? Czyżby Bóg uczynił coś zbędnego? Człowiek nie *może* sam ze siebie wiedzieć, co jest dobre, a co złe, dlatego Bóg nauczył go swej woli... Morał: kapłan *nie* kłamie — kwestia „prawdy” i „nieprawdy” w takich sprawach, o których mówią kapłani, nie pozwala na kłamstwo. Aby bowiem kłamać, trzeba by móc rozstrzygnąć, co jest tu prawdą. Lecz człowiek właśnie nie *może* tego dokonać; kapłan jest tym samym jedynie przekąźnikiem Boga. — Ten kapłański sylogizm ma nie tylko żydowski i chrześcijański

charakter: prawo do kłamstwa oraz *roztropność* „objawienia” przynależą do typu kapłańskiego, do kapłanów dekadencjnych tak samo jak do kapłanów pogańskich (— poganami są wszyscy, którzy mówią życiu „Tak”, dla których słowo „Bóg” jest nazwą wielkiego „Tak” wobec wszystkich rzeczy) — „Prawo”, „wola Boża”, „święta księga”, „inspiracja” — wszystko nazwy warunków, *dzięki* którym kapłan sięga po władzę, *dzięki* którym zachowuje swą władzę — pojęcia te można znaleźć u podstaw wszystkich organizacji kapłańskich, wszystkich kapłańskich czy filozoficzno-kapłańskich instytucji panowania. „Święte kłamstwo” — wspólne Konfucjuszowi, *Kodeksowi Manu*, Mahometowi, Kościołowi chrześcijańskiemu: nie brak go u Platona. „Prawda istnieje”: zdanie to oznacza, gdziekolwiek byłoby głoszone, że *kapłan kłamie...*

56.

— Koniec końców, ważne jest, dla jakiego *celu* się kłamie. W chrześcijaństwie brak „świętych” celów: oto *mój* zarzut przeciwko jego środkom. Tylko *liche* cele: zatrucie, oczernianie, negowanie życia, pogarda dla ciała, spodlenie i pohańbienie człowieka pojęciem grzechu — *zatem* i jego środki są *liche*. — Z przeciwnymi uczuciami czytam *Kodeks Manu*, niezrównanie duchowe i wyniosłe dzieło, które choćby tylko wymieniać jednym tchem z Biblią byłoby grzechem przeciwko *duchowi*. Od razu się to zgaduje: ma ono za sobą, w sobie rzeczywistą filozofię, a nie tylko cuchnącą judaikę rabinizmu i zabobonu — nawet najwybredniejszemu psychologowi daje coś pożywnego. *Nie* zapominajmy o głównej sprawie, o zasadniczej różnicy, która dzieli je od wszelkiego rodzaju Biblii: *dostojne* stany społeczne, filozofowie i wojownicy, trzymają dzięki niemu w garści tłum; wszędzie *dostojne* wartości, poczucie doskonałości, „Tak” wobec życia, tryumfalne zadowolenie z siebie i z życia — na całą księgę sływa *bronce*. — Wszystkie sprawy, w stosunku do których chrześcijaństwo daje upust swej bezdennej podłości, na przykład płodzenie, kobieta, małżeństwo, traktuje się tu z powagą, z czcią, z miłością i zaufaniem. Jak można dawać do ręki dzieciom i niewiastom książkę, która zawiera takie oto nikczemne słowa: „Ze względu jednak na niebezpieczeństwo rozpusty, niech każdy ma swoją żonę, a każda swojego męża [...] Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć w ogniu?” I czy *można* być chrześcijaninem, dopóki pojęcie *immacula ta conceptio* chrystianizuje, to znaczy *bruka*, powstanie człowieka?... Nie znam książki, w której by powiedziano kobiecie tak wiele delikatnych i łaskawych słów, jak w *Kodeksie Manu*; ci starzy siwobrodacze i święci mają pewien rodzaj grzeczności wobec kobiet, którego, być może, nic nie prześcignęło. „Usta niewiasty — czytamy gdzieś — piersi dziewczęce, modlitwa dziecka, dym ofiarny zawsze są czyste”. Inny ustęp: „nie ma nic czystszyego nad światło Słońca, cień krowy, powietrze, wodę, ogień i dziewczęcy oddech”. Ostatni wyimek — i, być może, również święte kłamstwo —: „wszystkie otwory ciała, które znajdują się powyżej pępka, są czyste, wszystkie, które znajdują się poniżej, nieczyste. Tylko u dziewczyny czyste jest całe ciało”.

57.

Nieświętość chrześcijańskich środków można złapać *in flagranti*, gdy cel *chrześcijański* zestawia się z celem, do którego zmierza *Kodeks Manu* — gdy mocne światło kieruje się na to największe między celami przeciwieństwo. Krytyk chrześcijaństwa nie uniknie podania go w *pogardę*. — Kodeks taki jak *Kodeks Manu* powstaje nie inaczej niż każdy dobry kodeks: sumuje doświadczenie, mądrość, moralność eksperymentalną długich stuleci, zamyka, nie kreuje już niczego więcej. Przesłanką tego rodzaju kodyfikacji jest rozpoznanie faktu, że środki, którymi nadaje się autorytet powolnie i drogo nabytej prawdzie, są zasadniczo różne od tych środków, którymi by się jej dowodziło. Żaden kodeks nie mówi o korzyściach, argumentach, kazuistyce w prehistorii kodyfikowanego przezeń prawa: gdyby tak czynił, to właśnie straciłby swój imperatywny ton, swe „powinieneś”, przesłankę swego posłuchu. Dokładnie na tym zasadza się cały problem. — W pewnym momencie rozwoju danego ludu jego najprzezorniejsza, to znaczy najdalej do tyłu i do przodu patrząca warstwa uznaje doświadczenie, wedle którego należy — to znaczy *można* — *żyć*, za zamknięte. Chce ona, by zwieziono z pół możliwie bogaty i pełny plon czasów eksperymentowania i *złych* doświadczeń. W takim momencie rzeczą, której przede

wszystkim należy się wystrzegać, jest dalsze eksperymentowanie, dalsze trwanie stanu płynności w dziedzinie wartości, ich *id infinitum* sprawdzanie, selekcjonowanie, krytykowanie. Przeciwno tego rodzaju zakusom zostaje wzniesiony podwójny mur: po pierwsze, *objawienie*, to znaczy twierdzenie, że rozum, właściwy owym prawom, nie jest ludzkiego pochodzenia, że *nie* poszukiwano go powolnie i pośród wielu pomyłek, lecz że, wywodząc się z boskiego źródła, jest rozumem całkowitym, doskonałym, bez historii, że jest darem, cudem, że został tylko przekazany... Po drugie, *tradycja*, to znaczy twierdzenie, że prawo to istnieje już od prawników, że podawanie go w wątpliwość jest brakiem szacunku, zbrodnią względem przodków. Autorytet prawa uzasadnia tezy: *nadał* je Bóg, *żyli* nim przodkowie. — Wyższa racjonalność takiego postępowania polega na zamiarze, by krok po kroku wyprzeć świadomość z życia uznanego za należyte (to znaczy *dowiedzianego* przez ogromne i surowo przesiane doświadczenie): tak iż zostaje osiągnięty pełny automatyzm instynktu — ów warunek wszelkiego mistrzostwa, wszelkiej doskonałości w sztuce życia. Stworzyć kodeks na wzór *Kodeksu Manu* to tyle, co przyzwolić ludowi, by w przyszłości stał się mistrzem, by stał się doskonałością — by jego ambicją była najwyższa sztuka życia. *By do tego doszło, trzeba go zepchnąć w nieświadomość*: jest to cel każdego świętego kłamstwa. — *Porządek kastowy*, naczelne, dominujące prawo, jest tylko usankcjonowaniem *porządku naturalnego*, prawa naturalnego pierwszej rangi, nad którym nie ma władzy żadna arbitralność, żadna „nowoczesna idea”. Każde zdrowe społeczeństwo rozczłonkowuje się na trzy, wzajemnie uwarunkowane typy o odmiennej grawitacji fizjologicznej, z których każdy ma swą własną higienę, swe własne królestwo pracy, swój własny rodzaj poczucia doskonałości i mistrzostwa. Już natura, a *nie* dopiero Manu, dzieli ludzi na istoty, w których przeważa duchowość, na istoty, w których przeważa siła mięśni i temperamentu, oraz na średniaków, którzy nie wyróżniają się ani pod jednym, ani pod drugim względem — tych ostatnich jako bezlik, tych pierwszych jako wybranych. Najwyższej kasty — jej członków nazywam najnieliczniejszymi — przysługują, jako kasty doskonałej, także przywileje najnieliczniejszych: do przywilejów tych należy prezentowanie sobą na Ziemi szczęścia, piękna, dobroci. Tylko ludzie najbardziej duchowi mają pozwolenie na piękno: tylko u nich dobroć nie jest słabością. *Pulchrum est paucorum hominum*: dobro jest przywilejem. Na nic natomiast nie można im mniej przyzwolić niż na obrzydliwe maniere czy na pesymistyczne spojrzenie, na oko, które *obrzydza* — czy wręcz na oburzenie ogólnym stanem rzeczy. Oburzenie jest przywilejem czandaków; podobnie pesymizm. *Świat jest doskonały* — tak mówi instynkt istot najbardziej duchowych, instynkt, który mówi «Tak»: niedoskonałość, wszystko, co *poniżej* nas, dystans, patos dystansu, sam czandak należą jeszcze do tej doskonałości”. Ludzie najbardziej duchowi, jako *najpotężniejsi*, swe szczęście znajdują tam, gdzie inni znaleźliby swą zgubę: w labiryncie, w srogości wobec siebie i innych, w eksperymencie; ich rozkoszą jest przezwyciężanie samych siebie: ascetyczność staje się u nich naturą, potrzebą, instynktem. Trudne zadania uznają za swój przywilej, igranie ciężarami, które innych przygniatają, za *wypoczynek*... Poznanie — forma ascetyczności. — Są oni najczcigodniejszym typem człowieka: co nie wyklucza tego, że i najpogodniejszym, najmilejszym. Panują nie dlatego, że tak chcą, lecz dlatego, że *są*; nie mogą postanowić, że będą drugimi. — *Drudzy*: to strażnicy prawa, opiekunowie porządku i bezpieczeństwa, to dostojni wojownicy, to, przede wszystkim, *król* jako najwyższa formuła wojownika, sędziego i ości prawa. Drudzy to egzekutywa ludzi najbardziej duchowych, ich najbliższy instrument, który zdejmuje z nich *wszelkie prostackie* czynności, których wymaga panowanie — to ich orszak, ich prawa ręka, ich najlepsi uczniowie. — Powiedzmy raz jeszcze: nie ma tu nic z arbitralności, nic z ludzkiego dzieła; jeśli stosunki wyglądają *inaczej*, to są ludzkim dziełem — natura zostaje wówczas pohańbiona... Porządek kastowy, *porządek* hierarchiczny formułuje naczelne prawo samego życia, wydzielenie trzech typów jest niezbędne dla zachowania społeczeństwa, dla umożliwienia typu wyższego i typu najwyższego — dopiero *nierówność* praw jest warunkiem istnienia praw jako takich. — Prawo jest przywilejem. Każdy ma w swym sposobie bycia także swój przywilej. Nie deprecjonujemy przywilejów, które przysługują *średniakom*. Życie, które dąży ku wyżynom, staje się coraz twardsze — rośnie chłód, rośnie odpowiedzialność. Kultura wysoka jest

piramidą: może stać tylko na szerokiej podstawie, za najpierwszą przesłankę ma mocno i zdrowo skonsolidowane średniactwo. Rzemiosło, handel, rolnictwo, *nauka*, spora część sztuki, cała — jednym słowem — działalność zawodowa konweniuje tylko ze średnią miarą umiejętności i pragnień: tego rodzaju zajęcia byłyby nie na miejscu wśród wyjątków, niezbędny do nich instynkt pozostawałby w sprzeczności zarówno z arystokratyzmem, jak i z anarchizmem. Przeznaczenie naturalne sprawia, że jest się pożytkiem publicznym, kółkiem, funkcją: *nie* społeczeństwo, lecz swego rodzaju *szczęście*, do którego zdolni są jedynie najliczniejsi, czyni z nich inteligentne maszyny. Dla średniaka jego średniactwo jest szczęściem; mistrzostwo w jednej dziedzinie, specjalizacja naturalnym instynktem. Średniactwo samo w sobie traktować jako zarzut — byłoby to zupełnie niegodne głębszego ducha. Jest ono *pierwszym* warunkiem koniecznym, aby mogli istnieć ludzie wyjątkowi: kultura wysoka jest uwarunkowana przez średniactwo. Jeśli człowiek wyjątkowy właśnie ze średniakami obchodzi się delikatniejszą ręką niż ze sobą samym i z sobie równymi, to postawa taka jest nie tylko uprzejmością serca — lecz po prostu jego *obowiązkiem*... Kogo najbardziej nienawidzę pośród dzisiejszej hołoty? Socjalistycznej hołoty, czandalowych apostołów, którzy podkopują instynkt, radość, poczucie zadowolenia robotnika ze swego skromnego bytu — którzy wlewają weń zawiść, którzy uczą go zemsty... Bezprawie nigdy nie polega na nierówności praw, lecz na żądaniu „równych” praw. Co jest *liche*”? Ależ już to powiedziałem: wszystko, co pochodzi ze słabości, z zawiści, z zemsty. — Anarchista i chrześcijanin wywodzą się z jednego źródła...

58.

W rzeczy samej, stanowi to różnicę, w jakim celu się kłamie: czy kłamstwem się utwierdza, czy *burzy*. Między *chrześcijaninem* i *anarchistą* można postawić znak równości: ich cel, ich instynkt zmierza tylko do burzenia. Dowód tej tezy trzeba tylko wyczytać z historii, która zawiera go z przerażającą wyrazistością. Przed chwilą poznaliśmy religijne prawodawstwo, którego celem było „uwiecznienie” naczelnego warunku *rozkwitu* życia, „uwiecznienie” wielkiej organizacji społeczeństwa, chrześcijaństwo natomiast swą misję znalazło w tym, by położyć kres właśnie takiej organizacji, *ponieważ kwitło w niej życie*. Rozumny plon długich czasów eksperymentowania i niepewności w pierwszym przypadku miał zostać ulokowany z myślą o odległych zyskach, a z pól zwieziono żniwo możliwie duże, możliwie bogate, możliwie pełne: w drugim, odwrotnie, żniwo *zatruto* przez noc... Imperium Romanum, które istniało *aere perennius*, jest najwspanialszą z dotychczasowych form organizacji, osiągniętych w ciężkich warunkach, w porównaniu z którą wszystko wcześniejsze i późniejsze jest tandetą, partaniną, dyletantyzmem — ci świątobliwi anarchiści zrobili sobie „pobożność” z tego, że zburzyli „świat”, *to znaczy* Imperium Romanum, aż nie pozostał kamień na kamieniu — aż mogli nad nim zapanować nawet Germanie i inne chamy... Chrześcijanin i anarchista: obaj dekadenci, obaj niezdolni do działania innego niż likwidowanie, zatrucie, dewastowanie, *wysysanie krwi*, obaj instynktem *śmiertelnej nienawiści* wobec wszystkiego, co stoi jako wielkie, co trwa, co obiecuje życiu przyszłość... Chrześcijaństwo było wampirem Imperium Romanum — przez noc udało się mu uczynić nie uczynionym wielki czyn Rzymian, jakim było zdobycie gruntu dla wielkiej kultury, która *ma czas*. — Czy wciąż jeszcze tego nie rozumiecie? Imperium Romanum, które znamy, które historia rzymskiej prowincji uczy nas coraz lepiej znać, to godne największego podziwu dzieło sztuki wielkiego stylu, było ledwie początkiem, jego budowa była obliczona na tysiąclecia, które miały służyć jej za *dowód* — do dziś nigdy tak nie budowano, nigdy nawet nie marzono, że będzie się budować w takim stopniu *sub specie aeterni* — Organizacja ta była dostatecznie mocna, by wytrzymać marnych cesarzy: przypadkowość osób nie może mieć żadnego wpływu w takich sprawach — *pierwsza zasada* wszelkiej wielkiej architektury. Lecz nie była dostatecznie mocna, by oprzeć się *najbardziej zepsutemu* rodzajowi zepsucia, by oprzeć się *chrześcijanom*... Za sprawą skrytego robactwa, które pośród nocy, mgły i dwuznaczności wkładało się we wszystkie jednostki i z każdej wysysało powagę wobec rzeczy *prawdziwych*, w ogóle instynkt *realności*, za sprawą

tchórzliwej, niewieściej i słodkiej bandy ta ogromna budowa stawiała się coraz bardziej obca duszom — owym wartościowym, owym męsko-dostojnym naturom, które sprawę Rzymu odczuwały jako swą własną sprawę, jako swą własną powagę, jako swą własną *dumę*. Kręactwo bigotów, potajemność konwentykli, posępne pojęcia, takie jak piekło, jak ofiarowanie niewinnego, jak *unio mystica* w piciu krwi, przede wszystkim zaś powolnie rozniecany ogień zemsty, zemsty czandaków — *to* zapanowało nad Rzymem, ten sam rodzaj religii, którego pierwotnej formie wydawał walkę już Epikur. Wystarczy poczytać Lukrecjusza, by pojąć, co zwalczał Epikur, mianowicie nie *pogaństwo*, lecz „chrześcijaństwo”, to znaczy zepsucie dusz przez pojęcie grzechu, przez pojęcie kary i przez pojęcie nieśmiertelności. — Zwalczał on *podziemne* kulty, całe ukryte chrześcijaństwo — zaprzeczenie nieśmiertelności już wówczas było rzeczywistym *odkupieniem*. — I Epikur byłby zwyciężył, każdy zacny duch w Cesarstwie Rzymskim był epikurejczykiem: *wtedy pojawił się Paweł...* Paweł, ta nienawiść czandali do Rzymu, do „świata”, która stała się ciałem, która stała się geniuszem, ten Żyd, *wieczny Żyd par excellence...* Odgadł on, w jaki sposób z pomocą niewielkiego sekciarskiego ruchu chrześcijan na poboczach judaizmu można rozniecić „pożar świata”, w jaki sposób z pomocą symbolu „Boga na krzyżu” można skupić w ogromną moc wszystko, co nizinne, co potajemnie buntownicze, całe dziedzictwo anarchistycznych intryg w Cesarstwie. „Zbawienie pochodzi od Żydów”. — Chrześcijaństwo jako formuła, dzięki której można prześcignąć wszelkie kulty podziemne, na przykład kult Ozyrysa, kult Wielkiej Macierzy, kult Mitry, prześcignąć — i zsumować: na zrozumieniu tego polegał geniusz Pawła. Jego instynkt był tu tak pewny, że, bezlitośnie zadając prawdzie gwałt, wszystkie wyobrażenia, którymi fascynowały owe religie czandaków, Paweł wkładał w usta, i nie tylko w usta, wymyślonego przez siebie „Zbawiciela” — że *zrobił* z niego coś, co mógł zrozumieć również kapłan kultu Mitry... W Damaszku Paweł pojął, że *potrzebuje* wiary w nieśmiertelność, aby pozbawić „świat” wszelkiej wartości, że pojęcie „piekła” zapanuje jeszcze nad Rzymem — że słowem „zaświaty” *uśmierca się życie...* *Nihilist* (nihilista) i *Christ* (chrześcijanin): rymują się, i nie tylko rymują...

59.

Cała praca antycznego świata *na darmo*: brak mi słów, by wyrazić swe uczucie wobec czegoś tak potwornego. — A jeśli zważyć, że jego praca była pracą przygotowawczą, że z granitową samoświadomością położono dopiero podwaliny pod pracę tysiąceci, to nadaremny okazuje się cały *sens* antycznego świata!... Cóż po Grekach? Cóż po Rzymianach? — Wszystkie przesłanki uczonej kultury, wszystkie *metody* naukowe już istniały, ustaliła się już wielka, niezmierzająca sztuka dobrego czytania — ta przesłanka przekazu kultury, jedności nauki; na najlepszej drodze było przyrodoznawstwo, powiązane z matematyką i mechaniką — *zmysł faktów*, ostatni i najcenniejszy z wszystkich zmysłów, miał swe szkoły, swą wielowiekową już tradycję! Czy rozumiecie to? Można się było zabrać do pracy, bo wynaleziono wszystko, co *istotne*: — metody, musimy to dziesięciokrotnie powtórzyć, są istotnym, a także najtrudniejszym instrumentem, który też najdłużej ma przeciwko sobie nawyki i lenistwo. Wszystko, co z niemożliwym do wypowiedzenia samo-przewyciężeniem — albowiem wszyscy mamy jeszcze we krwi liche instynkty, chrześcijańskie instynkty — odzyskaliśmy dzisiaj, swobodę spojrzenia w obliczu rzeczywistości, ostrożną rękę, cierpliwość i powagę w najmniejszych sprawach, całą *prawość* poznania — już istniało! już przed ponad dwoma tysiącletkami! A także dobry, subtelny takt i smak! Przy czym *nie* jako tresura mózgu! *Nie* jako kultura „niemiecka” o chamskich manierach! Lecz jako ciało, jako gest, jako instynkt — jednym słowem, jako rzeczywistość... *Wszystko nadaremnie**. Przez noc stało się to jedynie wspomnieniem! — Grecy! Rzymianie! Dostojność instynktu, smak, metodyczność badań, geniusz organizacyjny i administracyjny, wiara, *wola* ludzkiej przyszłości, wielkie „Tak” wobec wszystkich rzeczy stały się widoczne jako Imperium Romanum, widoczne dla wszystkich zmysłów, wielki styl już nie tylko sztuką, lecz rzeczywistością, prawdą, *życiem...* I wszystko zasypane przez noc nie w wyniku jakiegoś zdarzenia naturalnego! Nie rozdeptane przez Germanów czy innych ciężkostopych! Lecz

zhańbione przez podstępного, potajemnego, niewidzialnego, anemicznego wampira! Nie pokonane —jeno wyssane!... Skryta żądza zemsty, małostkowa zawiść stała się panem! Wszystko, co mizerne, co samo w sobie cierpiące, co nawiedzane przez liche uczucia, cały do *getta podobny świat* dusz za jednym razem wzięły *górze* — — Wystarczy poczytać jakiegokolwiek chrześcijańskiego agitatora, św. Augustyna na przykład, by pojąć, by *zwąchać*, *cóż* za niechlujna kompania wzięła tu górę. Zupełnie byśmy się oszukali, zakładając brak rozsądku u przywódców ruchu chrześcijańskiego: — ach, są oni roztropni, roztropni aż do świętości, ci panowie Ojcowie Kościoła! Nie dostaje im czegoś zupełnie innego. Natura zaniedbała ich — zapomniła im dać skromny posąg szacownych, przyzwoitych, *czystych* instynktów... Między nami mówiąc, nie są to nawet mężczyźni... Jeśli islam pogardza chrześcijaństwem, to ma tutaj tysiąckrotne prawo: przesłanką islamu są mężczyźni...

60.

Chrześcijaństwo pozbawiło nas plonu kultury antycznej, a w późniejszym czasie także plonu kultury *islamskiej*. Cudowny świat kultury hiszpańskich Maurów, pokrewny *nam* u swych podstaw, przemawiający do zmysłów i smaku bardziej niż Rzym i Grecja, został *zdeptany* — nie mówię, przez jakie stopy — dlaczego? bo dostojnym, bo męskim instynktom zawdzięczał swe powstanie, bo mówił życiu „Tak” jeszcze i wyrafinowanymi, rzadkimi kosztownościami mauretańskiego życia!... Krzyżowcy zwalczali później coś, przed czym leżeć w prochu bardziej by im przystało — kulturę, wobec której nawet nasz dziewiętnasty wiek zapewne wydałby się sobie nader ubogim, nader „późnym”. — Oczywiście, chcieli łupić: Wschód był bogaty... Bądźmy szczerzy! Wyprawy krzyżowe — wyższe piractwo, nic więcej! — Niemiecka szlachta, w gruncie rzeczy szlachta wikingowa, była w swym żywiole: Kościół aż za dobrze wiedział, czym się *pozyskuje* niemiecką szlachtę... Niemiecka szlachta, zawsze „szwajcarowie” Kościoła, zawsze w służbie wszystkich lichych instynktów Kościoła — ale za *dobrą zapłatę*... Że też Kościół swą śmiertelną wojnę ze wszystkim, co na Ziemi dostojne, stoczył właśnie z pomocą niemieckich mieczy, niemieckiej krwi i odwagi! W tym miejscu nasuwa się mnóstwo bolesnych pytań. Niemieckiej szlachty niemal *brak* w dziejach wyższej kultury: łatwo zgadnąć powód... Chrześcijaństwo, alkohol — dwa wielkie środki zepsucia... W obliczu islamu i chrześcijaństwa, podobnie jak w obliczu Araba i Żyda, wybór powinien być oczywisty. Rozstrzygnięcie jest z góry dane, nie ma tu już co wybierać... Albo siejesz, albo się *nie* jest czandalą... „Wojna na noże z Rzymem! Pokój, przyjaźń z islamem”: tak odczuwał, tak czynił ów wielki wolny duch, geniusz wśród niemieckich cesarzy, Fryderyk Drugi. Jakże to, czyżby Niemiec musiał być dopiero geniuszem, dopiero wolnym duchem, aby *przyzwolicie* odczuwać? Nie pojmuję, w jaki sposób Niemiec mógł kiedykolwiek odczuwać po *chrześcijańsku*...

61.

Koniecznienie musimy tu dotknąć stokroć boleśnieszego jeszcze dla Niemców wspomnienia. Niemcy pozbawili Europę ostatniego wielkiego plonu kultury, jaki Europa mogła zebrać — plonu *renesansu*. Czy rozumiecie wreszcie, czy *chcecie* zrozumieć, czym był renesans? *Przewartościowaniem wartości chrześcijańskich*, próbą, podjętą wszelkimi środkami, wszelkimi instynktami, wszelkim geniuszem, doprowadzenia do zwycięstwa wartości *przeciwnych*, wartości *dostojnych*... Do tej pory toczyła się tylko *ta* wielka wojna, do tej pory nie postawiono bardziej *decydującego* pytania niż pytanie, które postawił renesans — *moje* pytanie jest jego pytaniem —: nigdy nie było też bardziej zasadniczej, bardziej otwartej, radykalniej rozwiniętej na całym froncie i śmiało poprowadzonej na centrum formy *ataku* Zaatakować w decydującym miejscu, w samej siedzibie chrześcijaństwa, tutaj wynieść na tron wartości *dostojne*, to znaczy wwiesić je w instynkty, w najniższe potrzeby i żądze zasiadających tu osobników... Widzę przed sobą *możliwość* o zupełnie nadziemskim czarze i uroku barw: — zda mi się, że zabłyska ona we wszystkich dreszczach wyrafinowanego piękna, że działa w niej tak boska, tak diabelnie boska sztuka, że daremnie by się przeszukiwało stulecia, by znaleźć drugą taką *możliwość*; widzę tak pomysłowe, tak cudownie zarazem paradoksalne widowisko, że wszystkie bóstwa Olimpu miałyby okazję do

nieśmiertelnego śmiechu — *Cesare Borgia jako papież...* Czy mnie rozumiecie?... Nuże, to byłby tryumf, jakiego dziś jedynie ja pragnę —: tryumf, który *usunąłby* chrześcijaństwo! — Co się stało? Niemiecki mnich, Luter, wybrał się do Rzymu. W Rzymie ten mnich, który miał we krwi wszystkie żądne zemsty instynkty nieszczęśliwego kapłana, powstał *przeciwko* renesansowi... Nie był zdolny zrozumieć z najgłębszą wdzięcznością ogromu dokonanego dzieła, które polegało na przewyciężeniu chrześcijaństwa w samej jego *siedzibie* — tylko nienawiść Lutra umiała wyciągnąć dla siebie strawę z tego widowiska. Człowiek religijny myśli tylko o sobie. — Luter dostrzegł *zepsucie* papiestwa, podczas gdy właśnie coś przeciwnego można było uchwycić rękoma: na papieskim stolcu *nie* siedziało już dawne zepsucie, *peccatum originale*, chrześcijaństwo! Lecz życie! Lecz tryumf życia! Lecz wielkie „Tak” wobec wszystkich wysokich, pięknych, śmiałych rzeczy!... Luter *restytuował Kościół*: zaatakował go... Renesans — wydarzenie bez sensu, wielka *nadaremność* — Ach, ci Niemcy, ileż nas już kosztowali! Nadaremność — to było zawsze *dziełem* Niemców. — Reformacja; Leibniz; Kant i tak zwana filozofia niemiecka; wojny wolnościowe; cesarstwo — za każdym razem udaremnienie czegoś, co już zaistniało, czegoś *nie do przywrócenia*... Ci Niemcy, wyznaję, są *moimi* wrogami: pogardzam nimi za wszelkiego rodzaju niechlujstwo pojęć i wartości, *tchórzostwo* przed wszelkim prawym „Tak” i „Nie”. Niemal od tysiąca lat plątają i gmatwają wszystko, czego dotkną swymi paluchami, mają na sumieniu wszelką połowiczność — żebyż to chociaż połowiczność! — na którą chora jest Europa — mają na sumieniu także najbardziej niechlujny, najbardziej nieuleczalny, najbardziej nieobalalny rodzaj chrześcijaństwa, protestantyzm... Jeśli się nie uporamy z chrześcijaństwem, winni temu będą Niemcy...

— Tym oto sposobem jestem już u końca i ogłaszam swój wyrok. *Potępiam* chrześcijaństwo, podnoszę przeciwko Kościołowi chrześcijańskiemu najstraszliwsze z wszystkich oskarżeń, jakie kiedykolwiek oskarżyciel jakiś miał na ustach. Kościół chrześcijański jest dla mnie najwyższym, jakie sobie można wyobrazić, zepsuciem, jego wola dążyła do ostatecznego, czy choćby tylko do możliwego, zepsucia. Kościół chrześcijański niczemu nie oszczędził swego zepsucia, z wszelkiej wartości uczynił bezwartość, z wszelkiej prawdy kłamstwo, z wszelkiej prawości nikczemność duszy. Niech mi się kto jeszcze poważy mówić o jego „humanitarnych” dobrodziejstwach!

Usunięcie jakiegokolwiek niedoli godziłoby w jego najgłębszą przydatność — Kościół chrześcijański żył z niedoli, stwarzał niedole, aby siebie uwiecznić... Na przykład robak grzechu: dopiero Kościół wzbogacił ludzkość o tę niedolę! — „Równość dusz w obliczu Boga”, ten fałsz, ten pretekst do urazy u wszystkich nisko usposobionych, ten pojęciowy detonator, który stał się w końcu rewolucją, nowoczesną ideą i zasadą schyłku całego porządku społecznego — jest chrześcijańskim dynamitem... „Humanitarne” dobrodziejstwa chrześcijaństwa! Z humanitas wyhodować sprzeczność z samym sobą, sztukę samopohańbienia, wolę kłamstwa za wszelką cenę, awersję, pogardę dla wszystkich dobrych i prawych instynktów! — To właśnie byłyby dla mnie dobrodziejstwa chrześcijaństwa! — Pasożytnictwo jako jedyna praktyka Kościoła; jego ideałami anemii, „świętości” wysysające wszelką krew, wszelką miłość, wszelką nadzieję co do życia; zaświaty jako wola negacji wszelkiej rzeczywistości; krzyż jako znak rozpoznawczy najbardziej podziemnego sprzysiężenia, jakie kiedykolwiek istniało — sprzysiężenia przeciwko zdrowiu, pięknu, udatności, waleczności, duchowi, dobroci duszy, przeciwko samemu życiu...

To wieczyste oskarżenie chrześcijaństwa chcę wypisać na wszystkich ścianach, gdziekolwiek są jakieś ściany — mam litery, którymi i ślepych uczynię widzącymi... Nazywam chrześcijaństwo jednym wielkim przekleństwem, jednym najbardziej wewnętrznym zepsuciem, jednym wielkim instynktem zemsty, dla którego żaden środek nie jest dość jadowity, potajemny, podziemny, maty — nazywam chrześcijaństwo jednym nieśmiertelnym piętnem pohańbienia ludzkości...

I pomyśleć, że czas liczymy według tego dies nefastus, w którym rozpoczęła się ta fatalność — według pierwszego dnia chrześcijaństwa! — Dlaczego nie według ostatniego dnia raczej? — Według dnia dzisiejszego? — Przewartościowanie wszystkich wartości!...

K O N I E C

Ustawa przeciwko chrześcijaństwu
Wydana w dniu zbawienia, pierwszego dnia roku I
(30 września 1888 według błędnej chronologii)

Śmiertelna wojna z występkiem: chrześcijaństwo jest występkiem

Ustęp pierwszy. — Występkiem jest wszelka sprzeczność z naturą. Najwystępniejszym rodzajem człowieka jest kapłan: naucza on sprzeczności z naturą. Kapłana zwalczą się nie argumentami, lecz więzieniem.

Ustęp drugi. — Wszelki udział w nabożeństwach jest zamachem na obyczajność publiczną. Wobec protestantów należy być surowszym niż wobec katolików, wobec wszelkich liberalnych protestantów surowszym niż wobec protestantów ortodoksyjnych. Przestępczy charakter bycia chrześcijaninem wzrasta, w miarę jak chrześcijanin posiłkuje się nauką. Zatem zbrodniarzem nad zbrodniarzami jest filozof.

Ustęp trzeci. — Przeklęte miejsce, w którym chrześcijaństwo wysiadywało swe bazylijskowe jaja, ma zostać zrównane z ziemią i być postrachem dla całej potomności jako miejsce nikczemne. Należy na nim hodować jadowite węże.

Ustęp czwarty. — Kazania o czystości płciowej są publicznym podżeganiem do sprzeczności z naturą. Wszelkie pogardzanie życiem płciowym, wszelkie brukanie go pojęciem nieczystości jest prawdziwym grzechem przeciwko Duchowi Świętemu życia.

Ustęp piąty. — Spożywanie posiłku z kapłanem przy jednym stole wyklucza, ekskomunikuje z prawego społeczeństwa. Kapłan jest naszym czandak — należy go poniewierać, morzyć głodem, przegnać na wszelką pustynię.

Ustęp szósty. — Historię „świętą” należy nazwać mianem, na które ona zasługuje, mianem historii przeklętej; słów „Bóg”, „Zbawiciel”, „Odkupiciel”, „święty” należy używać jako obelg, jako znamion przestępcy.

Ustęp siódmy. — Reszta wynika z powyższego.

Antychrześcijanin